Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Nr. 41 | Niedziela, dnia 7 października 1928 roku | Rok IV-ty

TYGODNIK PRAWDA

Cena numeru 40 gr.

Prenumerata z dostawą do domu:
miesięcznie . . 1.35 zł.
kwartalnie . . . 4.— zł.
Konto w P.K.O. № 63.353

ŁÓDŹ — WARSZAWA — POZNAŃ

Treść numeru:

Sprawy tygodnia

POWRÓT MARSZAŁKA PIŁSUDSKIEGO.

PO SZEŚCIOTYGODNIOWEJ nieobecności p. Marszałek Piłsudski wrócił w czwartek 3-go października b. r. do kraju. Od chwili jego powrotu zaczyna się u nas nowy sezon polityczny.

Nadchodząca jesień i zima przyniosą niewątpliwie szereg bardzo doniosłych wydarzeń politycznych. Tak przynajmniej wierzy olbrzymia większość społeczeństwa, oczekując tych wydarzeń z otuchą i spokojem.

* * *

NA PIERWSZY PLAN wysuwa się sprawa nadchodzącej sesji sejmowej. Jakie będą jej losy i czy zostanie zwołana w spodziewanym terminie? Pomiędzy ostatnią, wiosenną sesją budżetową a terminem zebrania się obecnej, jesiennej, leży lipcowe oświadczenie Marszałka Piłsudskiego. Ze strony marszałka Sejmu wyszła inicjatywa stworzenia jeśli już nie pomostu, to przynajmniej jakiejś wątłej kładki, przy pomocy której mimo tego oświadczenia możnaby nawiązać stosunek rzeczowej współpracy pomiędzy Sejmem a Rządem. Okazuje się jednak, że inicjatywa ta owoców żadnych nie przyniesie. Większość stronnictw sejmowych do rzeczowego ustosunkowania się do Rządu i jego polityki nie jest zdolna. Rząd zaś bynajmniej nie jest skłonny do szukania jakiejś formuły, któraby ułatwiła kompromis, zdając sobie doskonale sprawę, że tak, jak dzisiaj rzeczy stoją, nie wolno mu odsłaniać nawet małego palca, gdyż zostałoby to niezwłocznie wyzyskane do wzmożenia arsenału środków przeciwrządowej propagandy. Co do stronnictw opozycyjnych, to znajdują się one dzisiaj więcej niż kiedykolwiek w ślepej uliczce, z której niema wyjścia. Zużyto już prawie wszystkie argumenty przeciwrządowe, mało kogo przekonawszy, chwycono się nawet demagogji, podnosząc pod adresem Rządu zarzut sprzyjania masonerji, marjawitom, wrogiego stosunku do kościoła itd. itd. Ta ostatnia kampanja prowadzona była tak bezwzględnie i z taką zjadliwością, że pewnym grupom opozycji odcięła zupełnie odwrót nawet pod maską opozycji rzeczowej, nawet pod zmienioną firmą.

* * *

NIECO INACZEJ przedstawia się sprawa opozycji grup socjalistycznych. Grupy te nie zeszły ani na krok z platformy opozycji politycznej. Formalnie nigdy nie wysuwały hasła walki z Rządem jako takim, lecz operowały tylko hasłem walki z polityką i taktyką Rządu. Tutaj kompromis byłby możliwy przynajmniej od wypadku do wypadku. Marszałek Daszyński miał nadzieję, iż uda mu się doprowadzić do takiego kompromisu i umożliwić dzięki niemu funkcjonowanie Sejmu. Zdaje się jednak, że i to nie będzie możliwem. Tak przynajmniej wynikałoby z uchwał Rady Naczelnej PPS. Na radzie tej omawiany był bardzo długo stosunek partji do rządu obecnego, przyczem ścierały się dwa kierunki: Jeden opowiadał się za podjęciem ści.le rzeczowego stosunku do Rządu, t. j. sprzeciwiania się każdemu projektowi, wyraźnie niezgodnemu z programem partji i bezpośredniemi interesami klasowemi robotników a rzeczowej oceny i rzeczowego stanowiska do każdego projektu, nie dotykającego bezpośrednio ani programu PPS. ani klasy robotniczej, czyli takiej polityki, jaką socjaliści musieliby z wszelką pewnością prowadzić, gdyby byli w rządzie i jaką prowadzili, gdy brali udział w rządzie lub w większości rządowej — jaką wreszcie prowadzą socjaliści niemieccy u siebie w domu, wotując nawet za budową pancerników i powiększanemi budżetami Reichswehry. Drugi wysuwał hasła bojowe, program bezwzględnej opozycji jak długo Rząd nie przywróci dawnego parlamentarnego stanu rzeczy i nie zacznie polityki swojej uzgadniać z partjami, reprezentowanemi w Sejmie.

Wspomnieliśmy, że ścierały się na tej konferencji dwa kierunki — trzeba jednak dodać, że reprezentowane były przytem trzy grupy. Ta trzecia grupa, to było niezdecydowane i kompromisowe centrum, które zawsze i wszędzie, w każdym organizmie partyjnym z biegiem czasu się wytwarza i stara się utrwalić każdorazowo istniejący stan rzeczy. Gdy więc z jednej strony **grupa posła Jaworowskiego** parła do stosunku rzeczowego i objektywnego, **grupa D-ra Drobnera** wysuwała hasła opozycji bezwzględnej i bojowej. Niezdecydowani znaleźli formułę: „Niechaj wszystko zostanie po dawnemu. Swego czasu uchwaliliśmy opozycję, odnówmy tę uchwałę i czekajmy do najbliższego kongresu!".

I tak się też stało. Uchwalono nadal trwać w opozycji w imię rzekomo zagrożonej demokracji — i czekać do kongresu listopadowego w Sosnowcu. Dzięki temu uniknięto secesji w łonie partji. Ale te uchwały, które na odłamy bardziej radykalne nakładają obowiązek niewkraczania poza ramy dotychczasowych metod opozycyjnych, nakładają też obowiązek na grupę „rzeczowych" niezwężania tych ram i niepodejmowania nic takiego, co mogłoby być uznane jako objaw chęci do pozytywnej i rzeczowej współpracy z Rządem. W ten sposób uchwały Rady Naczelnej PPS. zgóry przesądziły o rezultacie starań marszałka Sejmu.

* * *

JESZCZE NIE MINĄŁ rok od wyborów, a już oczywistem się stało, że nowy Sejm tak samo jak i poprzedni, do pracy pozytywnej zdolny nie jest. Marszałek Piłsudski dostrzegł to już w początkach lipca, dla ogółu stało się to widocznem dopiero teraz. I jeszcze jedna rzecz staje się widoczną, mianowicie to, że nawet myśleć nie można o tem, by istniała możliwość wprowadzenia jakiegokolwiek projektu konstytucyjnego na porządek dzienny obrad sejmowych. Jeżeli bowiem niema nadziei, aby marszałkowi Daszyńskiemu udało się znaleźć chociażby jedną sprawę, nad którą Sejm mógłby skutecznie i z nadzieją na rezultat obradować, i to z pośród spraw łatwych i nie nastręczających większych trudności, to jakżesz tu można myśleć, by Sejm potrafił w atmosferze. powagi i głębokiej rozwagi roztrząsać tak ważną kwestję jak zagadnienie ustroju państwa.

A zagadnienie naprawy ustroju, a raczej gruntownej przebudowy dotychczasowych zasad ustrojowych jest aktualnem. Niedawno „Robotnik" opublikował rezultaty konferencji konstytucyjnej, odbytej w łonie przedstawicieli grup, wchodzących w skład tak zw. „jedynki", czyli Bloku Bezpartyjnego. „Robotnik" przytacza poglądy poszczególnych działaczy rządowych i konkluduje z triumfem, że pomiędzy nimi istnieje taka rozbieżność, iż nie może być nadziei, by kiedykolwiek zdołano wyrównać te przepastne różnice. Tak źle jednak nie jest. Już z tego, co „Robotnik" przytoczył, widać, że istnieje prawie że jednomyślność, co do konieczności bardzo wydatnego powiększenia kompetencji i zakresu władzy głowy państwa. Jest również prawie całkowita jednomyślność co do tego, że zakres praw ciał ustawodawczych musi być ograniczony i że musi być znaleziony inny niż dotychczas sposób powoływania tych ciał.

Ludzie, którzy doszli do jednomyślności w tak zasadniczych kwestjach, bardzo łatwo dojdą do jednomyślności co do szczegółów, gdyby zwłaszcza szczegóły te wysunięte zostały przez Marszałka Piłsudskiego. To wydaje się pewnem i to jest niezmiernie cennem stwierdzeniem. Dotychczas bowiem, zwłaszcza w sferach, reprezentowanych przez „Robotnika", uważano za rzecz pewną i pocieszano się tem, że każdy projekt konstytucyjny, przedstawiony Blokowi podziała jak dynamit i rozsadzi obóz rządowy. „Rewelacje" organu socjalistycznego muszą każdego przekonać, że tak nie będzie.

Omawiając poglądy, wysuwane przez poszczególnych uczestników tej konferencji, między którymi było także kilku niedawnych socjalistów, „Robotnik" pisze o tych socjalistach: „... nie wątpimy w szczerość tej ewolucji, nie posądzamy nikogo o jakiekolwiek względy uboczne, a jednak przeraża poprostu kryzys ideowy, jaki musieli zapewne przeżyć ci ludzie. Wszak spalili wszystko, co czcili, schylili czoło przed wszystkiem, co palili..."

Ten sam kryzys przechodziło całe społeczeństwo i wychodzi z niego, doznawszy na własnej skórze błogosławieństw tego wszystkiego, co dawniej czcić mu kazano. I doprawdy niema się czem chwalić, jeśli się tego kryzysu nie przeżyło i jeśli się go nie rozumie.

* * *

PROCES MARJAWITÓW.

JUŻ TRZECI TYDZIEŃ ciągnie się proces przed sądem okręgowym w Płocku przeciw arcybiskupowi marjawickiemu, Kowalskiemu. Dzięki temu, że nie dopuszczono bezwzględnej tajności rozpraw, już pierwsze trzy tygodnie przyniosły więcej zgorszenia i narobiły więcej złego, niż zdołałaby narobić najbardziej pornograficzna literatura w ciągu kilku lat. Od trzech tygodni obfitemi szczegółami rozpraw płockich karmi się rozbudzony do zastraszających rozmiarów głód sensacji erotycznej wśród mas. Rozprawy płockie stały się źródłem i podstawą całego przemysłu pornograficznego, uprawianego przez liczne organy prasy, fotografów, wydawców broszur, a podobno nawet przedsiębiorców kinematograficznych.

Im dłużej trwa ten proces, tem wyraźniej widać, że wniosek tajności postawiony zarówno przez obronę jak i przez prokuratora był usprawiedliwiony. Przez ujawnienie bardzo licznych szczegółów rozpraw, a zwłaszcza zeznań wielu świadków oskarżenia i obrony, rozprawy wyszły z sali sądowej na ulicę. Przy sprawie, mającej za podłoże sekciarstwo i fanatyzm religijny, należało to przewidzieć. Zwłaszcza przy takiej sprawie, w której maczali ręce ludzie, których o czystość intencyj trudno posądzać.

Marjawityzm wygasał w Polsce. Stwierdza to wyraźnie statystyka liczebności tej sekty, a wewnętrzny jego rozkład najdosadniej malują zeznania samych marjawitów w tym procesie. Co drugi ksiądz marjawicki układał sobie sam swoje własne kanony i dogmaty religijne. Autorytet Kowalskiego był bardzo słaby. Rozumiejąc to, usiłował on podtrzymać swoją sektę operacjami handlowemi. Wskazują na to liczne tranzakcje nieruchomościami, awanturniczo - fantastyczne zakupy, czynione nie tyle w przewidywaniu końca świata, ile oparte na kalkulacjach walutowych. W tej dziedzinie Kowalski znalazł o wiele łatwiej pojętnych uczniów niż dla swojej teologji. Wkroczywszy na tę drogę, Kowalski prędzej czy później musiałby doprowadzić do kompletnego bankructwa cały marjawityzm, zwłaszcza że kwestja „małżeństw mistycznych" uniemożliwiała przyłączenie się tej sekty do jakiegoś kościoła, jak to widać z licznych prób, podejmowanych w ostatnich latach przez Kowalskiego. Nie ulega wątpliwości, że sprytny ten człowiek był ostatnio u kresu swojej pomysłowości. Próbował przecież wprowadzić do swego „kościoła" niektóre eksperymenty nowoczesnego komunizmu, jak n. p. odbieranie rodzicom „mistycznym" ich dzieci zaraz po urodzeniu i wychowywanie ich z wykluczeniem wszelkich wpływów rodzicielskich itp.

I kto wie, czy ten proces nie stanie się dla niego źródłem jakiegoś nowego „objawienia". W każdym razie nie zanosi się na to, by wyszedł z niego gruntownie skompromitowany w oczach tych, o których tutaj głównie chodzi i o których chodzić powinno, t. j. w oczach tłumu. Tłum, aczkolwiek ciemny, ma jednak wysoko rozwinięty zmysł spostrzegawczy i poczucie słuszności. A jak wspomnieliśmy w procesie tym powtarzają się nieustannie nazwiska, które zaufania nie budzą, nazwiska, które mają to do siebie, że przez podświadomą asocjację myślową wywołują wrażenie prowokacji.

Dlatego wielka szkoda, że to wszystko nie odbywa się za szczelnie zamkniętemi drzwiami. Sąd polski cieszy się takiem zaufaniem i ma taką powagę w oczach mas, że mógł spokojnie oddalić najzupełniej zbędnych świadków swej pracy.

* * *

POMOGŁO.

POMOGŁO MIANOWICIE publiczne, ostre napiętnowanie przez ministra Zaleskiego metod, jakiemi posługuje się prasa niemiecka, gdy chodzi o informacje z Polski. Najpierw zawrzało w prasie niemieckiej — korespondenci pism niemieckich interwenjowali w naszem ministerstwie spraw zagranicznych i złożyli tam podobno nawet pisemny protest, w Berlinie zebrał się „Reichsverband der deutschen Presse" i uchwalił rezolucję, w której stwierdził, że wystąpienie ministra Zaleskiego przeciw ogółowi prasy niemieckiej „steht einzig und ohne Beispiel da", ale gdy po oświadczeniu ministra, jakby dla ilustracji, przyszła jedna i druga konfiskata dzienników berlińskich w Katowicach, ponieważ zawierały wyssane z palca alarmujące wieści o rzekomych wrogich wobec Litwy zamiarach rządu polskiego, zaczął się odwrót. Pisma poczęły się usprawiedliwiać i tłumaczyć, iż w poszczególnych wypadkach, cytowanych przez ministra Zaleskiego, padły ofiarą mistyfikacji lub nieporozumienia. Zdecydowano się także w Berlinie usunąć z Polski przedstawiciela agencji „Telegraphen-Union", placówki prasowej, należącej do osławionego nacjonalisty Hugenberga, która też najwięcej oszczerstw o Polsce roznosiła po świecie. Przy tej sposobności opinja publiczna w Polsce miała sposobność dowiedzieć się, że jegomość, który fabrykował informacje z Polski dla tej agen-

CZYNNIKI POLITYKI PAŃSTWOWEJ

SPRAWY SPOŁECZNE — GOSPODARCZE — POLITYKA WEWNĘTRZNA I ZAGRANICZNA

cji, liczy sobie raptem d w a d z i e ś c i a j e d e n lat. Jest więc wytłumaczenie dla jego działalności: kawaler poprostu nie odzwyczaił się jeszcze od ssania paluszka.

* * *

SPRAWA, którą w tak zdecydowany i rzeczywiście w jedyny w swoim rodzaju sposób, poruszył minister Zaleski, jest ważniejsza, niżby się mogło zdawać. Trzeba bowiem sprostować jeden szczegół z oświadczenia ministra Zaleskiego, mianowicie to, że „prasy niemieckiej nikt nie czyta". Być może, że w sferach dyplomatycznych w Genewie i Paryżu traktuje się z niedowierzaniem informacje prasy niemieckiej o Polsce, ale jeśli chodzi o szeroką opinje zagranicy, zwłaszcza zaś o opinję anglosaskich krajów, to prasa niemiecka posiada na nią bardzo poważny wpływ. I prasa niemiecka jest uważana za najlepszą i najsolidniejszą w Europie. Opinja ta o Polsce wie bardzo mało. Od czasów Lloyd George'a, który niebardzo się nawet orjentował, gdzie należy Polski szukać na mapie Europy, niewiele się tam zmieniło. Niedawno jeszcze na jakiejś fachowej konferencji w Genewie, jeden z angielskich członków tej konferencji zwrócił się do uczestnika polskiego, uczonego o europejskiej sławie, z zapytaniem, jakim językiem mówią Polacy. Tak już jest, Anglik ma wstręt do geografji kontynentu europejskiego i do języków. Geografja Europy nie interesuje go, bo w Europie nie posiada ani kolonij, ani koncesyj, a języków niechętnie się uczy, bo z własnym śmiało może objechać cały świat. Zna jednak doskonale Niemców, stykał się z nimi w kolonjach, prowadzi z nimi interesy i ceni ich solidność kupiecką — wierzy także ich prasie.

Niemcy wiedzą o tem doskonale i umieją to wyzyskiwać, gdy chodzi o Polskę. Dotychczas szereg wielkich pism anglosaskich nie posiada swoich korespondentów w Warszawie, lecz obsługuje Polskę z Berlina, a dla tuzinów i dziesiątek pomniejszych pism angielskich i amerykańskich prasa niemiecka jest źródłem informacyj o Polsce.

Kiedyś podobnie było z Czechami, którzy także „reprezentowani" byli w krajach anglosaskich przez niemiecką służbę informacyjną i propagandową, ale Czesi szybko się wyemancypowali i stworzyli sobie sami aparat informacyjny, który dociera nieomal do każdej redakcji na zachodzie (n. b. i u nas także). Myśmy dotychczas tego nie potrafili zrobić. Zabieraliśmy się do tego wiele razy, ale każde takie przedsięwzięcie utknęło na trudnościach organizacyjnych, których nie potrafili pokonać ludzie, którym je powierzono. — Bardzo dobrze się stało, że zaczynamy chociaż prasie niemieckiej patrzeć na palce i należy sobie życzyć, aby to potrwało przez czas dłuższy, niemniej jednak należałoby może pomyśleć także i o naśladowaniu Czechów.

Na tle wypadków łódzkich

P. Adros odpowiedział na replikę naszą, zamieszczoną w poprzednim numerze. Obstając przy swojem twierdzeniu, jakoby „regulaminowy" strajk łódzki nie był bynajmniej zjawiskiem oderwanem, utrzymuje, że odwrotne twierdzenie nasze „oparte jest na zasadniczej pomyłce, gdyż niema w Polsce ustawy, nakazującej wywieszenie tabel kar, a istnieje tylko przepis prawny, przewidujący ewentualne ich istnienie".

Wobec tego nie pozostaje nam nic innego, jak odesłać p. Adrosa do „Dziennika Ustaw" Nr. 35 z r. b. i zalecić mu uważne przeczytanie na str. 696/7 artykułów 48, 50 i 61 Rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 16 marca 1928 r. Znajdzie on tam:

w art. 48: „Dla każdego zakładu pracy... powinien być wydany regulamin pracy w ciągu czterech tygodni od otwarcia zakładu lub od wejścia w życie niniejszego rozporządzenia",

w art. 50: „Regulamin pracy powinien zawierać:.... g) rodzaje przekroczeń i wysokość kar pieniężnych za nie nakładanych",

w art. 61: „Winni przekroczenia przepisów artykułów.... 48.... niniejszego rozporządzenia.... ulegną karze grzywny od 10 zł. do 500 zł.".

Gdyby p. Adros był sobie zadał, jak był powinien, trud zajrzenia do ustawy zamiast polegać na niemiarodajnych informacjach osób nieuświadomionych, lub tendencyjnie stronnych, to nie byłby na tej kruchej podstawie oparł wniosku, że „ustanowienie lub nieustanowienie tego rodzaju tabel należy zatem do tych spraw, które w ustawie przesądzone nie zostały i które temsamem pracodawcy i pracownicy uzgodnić muszą między sobą bezpośrednio; skoro zatem strajk uznany jest w Polsce jako legalna broń robotników, to trudno mówić o zatargu między nimi a prawem".

Jeżeli więc p. Adros jest zwolennikiem poważnej i rzeczowej polemiki, a za takiego go zawsze uważaliśmy, to i tym razem znowu jednak grubo uchybił swemu zamiłowaniu, skoro oparł swe wywody na tak wątłej podstawie. Nie ulega też najmniejszej wątpliwości, że gdyby nie chodziło właśnie o Łódź i jej przemysł, to nie obstawałby z takim uporem na swojem, lecz byłby się raczej przyznał do mniejszej przed tygodniem, niż dzisiaj, winy niedostatecznie wiarygodnych informacyj.

Ale wobec Łodzi, w Warszawie nie wolno nie mieć racji, więc się jej broni nawet wbrew „Dziennikowi Ustaw".

Z. W.

Swoiste metody w badaniach gospodarczych

W oficjalnym organie Ministerstwa Przemysłu i Handlu, w numerze 40 z dnia 29-go września p. inż. J. Rytel zamieścił bardzo interesujący artykuł p. t. „Rozwój przemysłu gumowego w Polsce". Artykuł ten byłby tylko bardzo ciekawą dla niewtajemniczonych informacją o powstaniu i rozwoju tej nowej u nas gałęzi przemysłowej i nie wymagałby omówienia, gdyby pewne metody, zastosowane przez autora, nie nakazywały zdumiewać się, że nie zostały zdyskwalifikowane przez Redakcję tego czasopisma, wydawanego przez szereg Ministerstw i będącego zwłaszcza oficjalnym organem Ministerstwa Przemysłu i Handlu.

Mówiąc bowiem o charakterze zaangażowanego w tej gałęzi przemysłowej kapitału, p. Rytel rozróżnia kapitały obcy i krajowy, a prócz tego i w jednych i w drugich ustanawia jeszcze podgrupy, a mianowicie: w krajowym precyzyjnie odróżnia kapitał po chodzenia polskiego, żydowskiego i niemieckiego, w obcym zaś ogólnie-żydowskiego od np. żydowsko-austrjackiego.

Przeciera się oczy, patrzy się na okładkę tytułową, szuka się czy pod artykułem nie jest czasem podpisany były minister Kucharski, który nie chciał pożyczać żydowskich pieniędzy dla Polski. A przytem ta precyzja: 0,7% pochodzenia polskiego, 65,3% niemieckiego, 27,6% żydowskiego! Z ułamkami!

Rozumiemy, że nasi żydowscy i niemieccy mniejszościowcy zacierać muszą ręce z radości na widok rozległego zasięgu ich propagandy, która zdołała przeniknąć mury gmachów ministerjalnych. Ale czy oficjalny organ Ministerstwa Przemysłu i Handlu, organ o charakterze wybitnie gospodarczym, zalicza do rzędu swych zadań sprawiać uciechę krzewicielom odrębności narodowych na terenie Polski? Dlaczego nie liczy się raczej z obrażonemi uczuciami tych, którzy mimo odmienności pochodzenia, lub rasy, czują się nierozłącznie związani z organizmem narodowym i państwowym i uważają się za cząstkę wielkiej całości?

Artykuł p. Rytla nie zdradza w swej treści żadnej ubocznej tendencji. Przeciwnie: stwierdzając w zakończeniu sukcesy inicjatywy i wysiłku, apeluje do rządu i społeczeństwa o współdziałanie. Zatem skąd mu się i poco przyplotło to gospodarczo tak nieistotne i pozbawione wszelkiego znaczenia rozgraniczenie kapitału, zwłaszcza krajowego, według jego t. zw. pochodzenia? — Co chciał przez to powiedzieć?

Na łamach „Naszego Przeglądu" statystykę tę moglibyśmy uważać za swoistą reklamę żydowskiej rzutkości i przedsiębiorczości, przewyższającej polską i niemiecką. Na łamach „Dwugroszówki" rozumielibyśmy ją jako załamywanie rąk nad wypierającym elementy rdzenne we wszystkich dziedzinach żydowstwem. Ale dla wynalezienia jakiegokolwiek wytłumaczenia dla niej na szpaltach organu gospodarczego wogóle, a ministerjalnego w szczególności, brak nam inwencji. — Bo wolno p. Rytlowi mieć swoje odrębne i specyficzne pojęcia ekonomiczne, ale przecie niekoniecznie muszą one znajdować gościnę w piśmie, które będąc instrumentem narodowej polityki gospodarczej, nie powinno chyba być terenem niepoczytalnych pod względem gospodarczym dociekań.

D. F.

Gorzej, niż biurokracja.

W ostatnim numerze „Przeglądu Tygodniowego", będącego organem Związku Miast Polskich, znajdujemy historję tak nieprawdopodobną, że możnaby ją uważać za jakąś wyrafinowanie złośliwą mistyfikację, gdyby organ, który ją przynosi, nie stał ponad wszelkiemi tego rodzaju podejrzeniami. Oto ona:

Ustawa o Tymczasowem Uregulowaniu Finansów Komunalnych z dnia 11 sierpnia 1923 przyznaje samorządom miejskim pewien udział w państwowym podatku dochodowym i określa w procentach wysokość tego udziału. W marcu 1926 r. Ministerstwo Skarbu wydało orzeczenie, zmniejszające wysokość tego udziału samorządów miejskich w państwowym podatku dochodowym. Magistrat miasta Poznania orzeczenie to zaskarżył do Najwyższego Trybunału Administracyjnego i uzyskał wyrok, uchylający je, jako niezgodne z ustawą o Tymczasowem Uregulowaniu Finansów Komunalnych. Czyli Magistrat Poznania wygrał sprawę i począł na zasadzie tego wyroku domagać się w ministerstwie skarbu wypłacenia mu zredukowanej części swego udziału w podatku dochodowym.

O wyroku Najwyższego Trybunału dowiedział się Związek Miast Polskich i, opierając się na nim począł czynić w Ministerstwie Skarbu starania, by zaległości z tytułu udziału samorządów w państwowym podatku dochodowym wypłacone zostały wszystkim miastom. Sprawa była zupełnie jasna: Ministerstwo Skarbu przegrało proces w Najwyższym Trybunale Administracyjnym — okólnik, zmniejszający dochody miast, został przez Trybunał uchylony, zatem miasta miały prawo domagać się zwrotu sum, które dzięki temu okólnikowi zostały im niedopłacone. Od tego miasta mają swój związek, aby takie rzeczy robił, od tego płacą składkę na rzecz związku, aby oszczędzić sobie wydatków na prowadzenie spraw, wspólnych wszystkim miastom. Zresztą leży również w interesie Ministerstwa Skarbu, aby zamiast tysięcy podań miało do rozpatrzenia tylko jedno podanie w imieniu wszystkich.

Na podanie swoje w tej sprawie Związek Miast Polskich najpierw nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Odczekawszy należycie Związek Miast interweniował przez swoje biuro centralne w Ministerstwie. Odbyła się w tej sprawie konferencja we właściwym departamencie, a po niej Ministerstwo nadesłało Związkowi następujące wyjaśnienie:

„Ministerstwo Skarbu zarządzi stosownie do wyroku Najwyższego Trybunału Administracyjnego z dnia 28. VII. 1928 r. wypłatę zaległych sum z tytułu udziału w państwowym podatku dochodowym w stosunku do tych tylko miast, które wniosły odnośne skargi do Najwyższego Trybunału Administracyjnego i uzyskały wyroki. Pozostałe zaś miasta nie otrzymają zwrotu omawianych sum, ponieważ wyrok Najwyższego Trybunału Administracyjnego z dnia 28. VII. 1928 r. ich nie dotyczy pod względem formalnym, aczkolwiek orzeka o zasadniczej istotnej niezgodności stanowiska Ministerstwa Skarbu z obowiązującem ustawodawstwem".

Przytaczając to niesłychane orzeczenie Ministerstwa Skarbu, redakcja „Przeglądu Tygodniowego" pisze:

„Wobec takiego stanowiska Ministerstwa Skarbu, konieczną rzeczą staje się podjęcie przez poszczególne miasta indywidualnych starań, a to w ten sposób, iż miasta te zwrócą się w administracyjnym toku instancyj do odnośnych władz o wypłacenie należnych sum i w razie gdyby starania te nie zostały uwzględnione, wówczas winny indywidualnie wnosić skargi do Najwyższego Trybunału Administracyjnego po wyczerpaniu instancyj.

Droga ta przysporzy bezcelowej pracy władzom państwowym, jednakże jest jedyną dla rewindykacji omawianych sum".

* * *

Czytając to, człowiek przeciera oczy i wierzyć nie chce, że coś podobnego jest możliwem, że coś podobnego jest możliwem zwłaszcza dzisiaj, gdy przy każdej sposobności słyszy się o konieczności usprawnienia administracji, o rzeczowem ustosunkowywaniu się władz do słusznych żądań ze strony czy to poszczególnych jednostek czy organizacyj i związków — że coś podobnego możliwem jest zwłaszcza ze strony Ministerstwa Skarbu, którego bardzo wybitni przedstawiciele tomy piszą i publikują o konieczności racjonalizacji pracy i stosowaniu najbardziej nowoczesnych metod organizacyjnych.

Jakżeto? Przecież tutaj w sprawie zupełnie jasnej, nie nastręczającej najmniejszych wątpliwości, bo rozstrzygniętej przez najwyższą instancję jurydyczną, każe się podejmować olbrzymią pracę, podczas gdy można ją doskonale załatwić jednem pociągnięciem pióra.

Zobaczmy: Miasta, zanim zwróciły się w sprawie wstrzymania im części wypłat z udziału w podatku dochodowym do sądu, zwróciły się do swego Związku. Związek doszedł do wniosku, że sprawa musi być poddana orzeczeniu Najwyższego Trybunału Administracyjnego. Ale nie popełnia nonsensu i nie doradza tysiącowi miast wnoszenia skarg do Trybunału, gdyż poto istnieje orzecznictwo Najwyższych instancyj sądowych, aby uważane było za obowiązujące przy sprawach analogicznych, lecz powoduje wniesienie skarg zaledwie przez trzy czy cztery miasta. Wyrok zapada po myśli żądań miast i Związek udaje się z nim do Ministerstwa Skarbu, prosząc o zarządzenie wypłat sum, wstrzymanych miastom na zasadzie niezgodnego z prawem rozporządzenia. I co się dzieje?

Zamiast polecenia do kas skarbowych, aby natychmiast, czy w ratach czy w inny jakiś sposób zlikwidowały pretensje samorządów w swoich okręgach, Ministerstwo mówi: „Kto ma do mnie jakąś pretensje — niechaj mnie skarży — bez wyroku i wylegitymowania się, że wyrok opiewa na właściwe imię — nie płacę!"

Jaki będzie rezultat? Najpierw kilkaset miast zwróci się do władz właściwych z podaniami o wypłatę zaległości. Władze załatwią podania odmownie — miasta wniosą rekursy. Sprawa liczyć się będzie aż „do wyczerpania instancyj". Potrwa to rok conajmniej — trzeba będzie zapisać wagon papieru — kilkaset ludzi straci mnóstwo czasu na bezcelowe pisanie, czytanie i odpisywanie. Wreszcie sprawę otrzymają w ręce adwokaci miejscy i pisać będą skargi do Najwyższego Trybunału, co wymagać będzie dużych wydatków i znowu trwać będzie rok. Do Trybunału wpłynie kilkaset skarg. Trybunał, który — jak wiadomo z ostatniej dyskusji budżetowej w sejmie — zawalony jest sprawami, będzie musiał setki tych podań rozpatrywać i wyrokować, gdyż każde miasto musi uzyskać wyrok indywidualny. Po otrzymaniu wyroku znowu każde miasto oddzielnie będzie musiało czynić zabiegi o wypłacenie mu przyznanej przez Trybunał Administracyjny sumy.

Decyzja Ministerstwa Skarbu jest nietylko w rażącej niezgodzie z lansowaną tak gorliwie przez czynniki rządowe, a m. in. — jak wspomnieliśmy — przez czynniki kierownicze w Ministerstwie Skarbu, ideę racjonalizacji i organizacji oraz z hasłem usprawnienia, ale ponadto obraża wysoce poczucie słuszności i sprawiedliwości.

Burmistrz.

Pięcioletni matematyk

Emil Iwanco

Praga, we wrześniu 1928 r.

Obok muzyki i szachów, matematyka jest tą dziedziną, w której stosunkowo najłatwiej o tak zw. „cudowne dzieci". Rzadko które z nich zatrzymuje, względnie rozwija swoje zdolności w późniejszym wieku. To też „cudownym" wyjątkiem z pośród tych wybitnie w świecie cyfr łatwo orjentujących się ludzi był osobnik występujący przed wojną pod przybranem nazwiskiem Arago. Był to raczej żongler matematyczny i ekwilibrysta, niż poważny myśliciel. Po kinach i varietés olśniewał widzów błyskawicznem podnoszeniem do trzeciej potęgi liczb czteromiejscowych. Zdaje się, że los większości „Wunderkindów" spotkał obwożonego również przed wojną po wszystkich miastach rosyjskich ośmioletniego Wołodzię Zubryckiego. — Igraszką dla tego dziecka było powtórzenie raz usłyszanego szeregu kilkudziesięciu liczb i to „tam i z powrotem". Teraz o nim głucho. Niewiadomo też, jaki los czeka nowoodkryty fenomen w „osobie" — jeżeli można „osobą" nazwać pięcioletniego wątłego i mizernego chłopaczynę — syna słowackiego robotnika z zapadłej napół zmadziaryzowanej dziury — Emerycha Iranco. Być może, że i on zawiedzie pokładane w nim nadzieje, uczeni jednak czeskosłowaccy, którzy się nim zainteresowali, z pewnością dołożą starań, aby go w odpowiednim kierunku poprowadzić.

Pięć lat! Jest to wiek, w którym dzieci normalnie nie zdają sobie sprawy ze znaczenia liczb. O ile któreś umie liczyć do trzech, napawa to dumą rodziców. A co robi Emerych? Podnosi — w pamięci! — do trzeciej potęgi naprz. 115. Nie robi tego błyskawicznie. Wprost przeciwnie, taka operacja wymaga przeszło 15 minut. I to jest właśnie ciekawe, wyklucza bowiem podejrzenie, że jakaś hypertrofja pamięci wysyła w mózgu dziecięcym wszelkie możliwe kombinacje cyfrowe. Emerych jednak oblicza śmiało, można powiedzieć, że **nie umie** wyników, ale pracowicie do nich dochodzi. Dokładnie tyle minut zużył na obliczenie 48^3, jak i 10^3. Najlepszy chyba dowód tego twierdzenia!

Niezmiernie ciekawem jest obserwowanie tego matematyka „przy pracy". Na tablicy wypisują mu zadanie: „56^3". Chłopak przygląda się uważnie cyfrom, poczem odwraca się i.... zaczyna dokazywać. Biega, skubie siedzącego na podjum managera, bawi się guzikami własnego ubrania. Ma się wrażenie, że zapomniał o tem, na co czekają wszyscy. Od czasu do czasu jednak porusza wargami, niekiedy przebiera palce jednej ręki. Wreszcie komunikuje rezultat. Przeważnie dobry, ale czasem się myli. I oto jeszcze jeden dowód, że oblicza, że nie wyszukuje w głowie gotowej liczby, zapamiętanej z poprzedniego doświadczenia. Trudno mu przytem uwierzyć, aby mógł dopuścić do błędu. Oblicza jeszcze raz, wreszcie bierze papier i ołówek i sprawdza.

Pamięć cyfrową ma olbrzymią. Po dwóch godzinach pamięta wynik poprzednich obliczeń.

Z punktu widzenia nauki byłoby rzeczą nieocenioną zbadać, w jaki sposób mały Emerych przeprowadza swoje obliczenia. Niestety jest to niemożliwe. Emerych bowiem kategorycznie odmawia liczenia głośno. Odrazu w ten sposób przerywa wszelką na ten temat dyskusję.

W jaki sposób spostrzeżono te wybitne zdolności? Otóż pewnego dnia usłyszał, że dwa razy dwa jest cztery. To wystarczyło, aby tego samego dnia dziecko nie umiejące czytać zrobiło pierwsze swoje odkrycie matematyczne. Mały Emerych ni z tego ni z owego zakomunikował wieczorem ojcu, że połowa siedmdziesięciu jest trzydzieści pięć. Zainteresował się tem nauczyciel i oto w dzień wigilijny 1927 r. nauczył Emerycha tabliczki mnożenia. W ciągu jednego dnia przed rokiem niespełna!

W psychotechnicznej pracowni Akademji Pracy im. Masaryka, przeprowadzał z małym Słowakiem doświadczenia prof. Seracky. Doszedł do wniosku, że Emerych pod każdym względem przewyższa inteligencją swoich rówieśników. Nieraz bez trudu rozwiązywał zadania, zadawane normalnie chłopcom dziesięcioletnim. Pewna jednostronność umysłowości jego została jednak stwierdzona. Zna dobrze to, co może sam **przemyśleć**, gorzej to, gdzie musi się wypytywać. Odróżnia świetnie kolor żółty, czerwony, zielony, ale i niebieski nazywa zielonym. Oba kolory są pokrewne, więc je abstrahuje pod jedną nazwę.

Sposób myślenia ma **statyczny**. Na obrazku, gdzie dwóch chłopców kłóci się przy zabawie, widzi dzieci i zabawki. Kłótni nie spostrzega.

Na zapytanie, jaka jest różnica między kamieniem, a jajem, Emerych odpowiada: „Kamień może mieć rozmaite formy, jajo tylko jedną". I znów tu przejawia się abstrakcyjny sposób myślenia i niezmiernie rozwinięte poczucie formy, przy braku zainteresowania dla konkretnych właściwości.

Ogólna opinja po czterogodzinnem badaniu brzmiała: Niezwykle zdolny, posiada genjusz matematyczny. Należy jednak dbać o to, by się rozwijał wszechstronnie. Wymaga wyjątkowej pieczy, chociażby dlatego, że nie może chodzić do szkoły wraz z rówieśnikami i wraz z niemi uczyć się, że 1+1=2. Pozatem trzeba się starać, by nie wyrósł na artystę z varieté. Takich zdolności bowiem byłoby szkoda!

Władysław Mergel.

— Czemu pan nie pije? spytała Syrena.

— Straciłem apetyt — rzekłem, odsuwając talerzyk z ciastkami — na miłość Boską, jak mogła pani wieszać tu taki straszliwy bohomaz?

Piękna pani obraziła się.

— To nie żaden „bohomaz", tylko dzieło znakomitego twórcy nowej szkoły malarskiej spazmatystów, obraz, odznaczony na wystawie awangardy sztuki. Dostałam go w prezencie. Kosztował sto tysięcy franków. Widzę, że pan się zupełnie nie zna na malarstwie.

— Pani to nazywa malarstwem? — odparłem rozdrażniony — przecież to jest nikczemna spekulacja.

— Spekulacja? Na czem?

— Na głupocie ludzkiej, na dezorjentacji estetycznej, na braku jakichkolwiek kryterjów tłumu nuworyszów, kupujących teraz dzieła sztuki, wreszcie na reklamie i na kulcie tak zwanego postępu...

— Pan się myli, kochany panie — odparła Syrena — krytycy fachowi przyjęli ten obraz entuzjastycznie, jako zapowiedź nowego prądu.

— „I ty im wierzysz, biedna dziewczyno?" — zaintonowałem ironicznie. — Pani Syreno, niech się pani nie przeraża, ale muszę powiedzieć, że padła pani ofiarą rozgałęzionej szajki opryszków, grasujących po całym świecie.

— Boże! Co pan mówi!

— Nie pani jedna zresztą padła ofiarą zdrady.

— Jakiej zdrady?

— Zdrady inteligencji.

Syrena patrzała na mnie szeroko rozwartemi oczami.

— Trzeba pani wiedzieć, że część inteligencji w ostatnich czasach sprzeniewierzyła się swemu powołaniu i zamiast piąć się z mozołem na szczyty kultury, wiedzy i sztuki, zeszła w niziny demagogji, szarlatanerji i spekulacji. Zdrada inteligencji, która łechce kudłaty kark Kalibana, zamiast trzymać bestję na obroży — zaważyła fatalnie na losach Europy i kto wie, czy nie doprowadzi do katastrofy społecznej.

— Do katastrofy?

— Tak jest! Najzdrowszy nawet organizm ulegnie zatruciu jeśli mu kto będzie systematycznie zaszczepiał zarazki chorobotwórcze. Z chwilą, kiedy zaszczepianie społeczeństwu czynników destrukcyjnych stało się systemem i modą — nasza współczesna kultura zaczęła chorować. Na świetnej pozornie fasadzie nowoczesnego świata zjawiły się groźne pęknięcia i rysy. Codzień pogłębiają je dłonie zdrajców inteligencji — tych, którzy pochlebiają tłumowi, którzy wyśmiewają „cnoty mieszczańskie" i ubierają występek w glorję heroizmu, którzy kpią sobie z dobrego wychowania i propagują chamstwo i katylinaryzm w stosunkach zarówno osobistych, jak zbiorowych, którzy zrobili z prasy kloakę skandali i sensacji, z demokracji — władzę ilości nad jakością, a ze sztuki — pogoń za popłatną ekstrawagancją... ci właśnie odpowiadają za grożący nam wszystkim upadek kultury!

Syrena spojrzała na mnie dziwnie i, nic nie mówiąc, podała mi kapelusz i laskę.

— Co to? Wyrzuca mnie pani?

— Pan musiał wstać dzisiaj lewą nogą— odparła Syrena, otwierając drzwi. — Przed chwilą zaśpiewał mi pan arję z „Halki", notabene fałszywie. Zaśpiewam panu teraz coś równie tatrzańskiego, bo z „Morskiego Oka", a mianowicie:

„Idź pan spać, idź pan spać, jak się wyśpisz, to daj znać!" Dobranoc!

I lekko wypchnęła mnie za drzwi.

L. Brun.

Tryljon przodków posiada każdy człowiek

Tajemnice tablicy genealogicznej

Każdy z nas ma ojca i matkę. Ojciec i matka mieli również rodziców, a ci znowu swoich rodziców. Czyli: każdy z nas ma ojca, matkę, dwuch dziadków i dwie babki, czterech pradziadków, cztery prababki, ośmiu prapradziadków, ośm praprababek itd., itd., itd. Jeżeli przyjmiemy, że w ciągu stu lat żyją cztery generacje, to idąc wstecz doliczymy się w pierwszem stuleciu 32 przodków (2-je rodziców, 4 dziadków, 8 pradziadków, 16 prapradziadków). W następnem stuleciu, licząc w ten sposób, doliczymy się 512 przodków, w trzecim stuleciu wstecz 8.192 przodków, w czwartem 131.072, w piątem 2.097.152, w szóstem 33.554.432, w siódmem 536.870.912 przodków. Jest to ścisły matematyczny rachunek, oparty na niewzruszonej zasadzie, że każdy człowiek ma ojca i matkę. Gdyby przeto ktoś chciał zapuścić się w szeregi swoich przodków i zaczął badać historję swego rodu po stronie ojca i matki wstecz, musiałby dojść do rezultatu, że tylko w ostatnich siedmiuset latach miał jaknajdokładniej 536.870.912 przodków, a gdyby chciał cofnąć się jeszcze dalej, np. do roku 400 po narodzeniu Chrystusa doliczyłby się

1 050 521 504 606 846 976 przodków,

wyraźnie: jeden tryljon, pięćdziesiąt tysięcy pięćsetdwadzieścia jeden biljonów, pięćsetcztery miljardów, sześćsetsześć miljonów, osiemsetczterdziescisześć tysięcy dziewięćsetsiedemdziesątsześć przodków.

Czy tak jest w rzeczywistości? Nie. Z tej prostej przyczyny, że gdyby tak każdy mieszkaniec ziemi zaczął liczyć swoich przodków, to okazałoby się, że w roku 400 po Chrystusie było tyle ludzi na świecie, że na napisanie tej liczby trzebaby zużyć **kilka pociągów papieru i kilka cystern atramentu.** A gdyby jeszcze dalej wstecz się cofnięto, to wbrew temu co twierdzi biblja, doszlibyśmy nie do Adama i Ewy, jako pierwszej pary rodziców ludzkości, lecz do takiej ilości ludzi, że nie pomieściliby się prawdopodobnie nietylko na ziemi, ale na wszystkich gwiazdach i planetach, pędzących w przestworzach wszechświata.

Niemniej jednak rachunek powyższy jest ścisły. Gdzież więc tkwi błąd? Otóż błąd tkwi w tem, że przy tym rachunku wychodzi się wprawdzie z dobrego założenia, że każdy człowiek ma ojca i matkę, ale nie uwzględnia się tej niezmiernie ważnej okoliczności, że istnieją pokrewieństwa, że my, którzy od siebie, jakby od pnia, wywodzimy ten rachunek, bynajmniej **pniem nie jesteśmy, lecz gałązką,** po której dopiero dochodzimy w pewnym momencie do konarów i pnia, w którym początek biorą wszyscy nasi przodkowie. Ponieważ — jeśli chodzi o całą ludzkość na ziemi — pień ten jest według wszelkiego prawdopodobieństwa jeden, jedynie słusznym wnioskiem jest twierdzenie, że **wszyscy ludzie na ziemi są ze sobą spokrewnieni.**

Jeżeli spróbujemy graficznie nakreślić swoje drzewo genealogiczne, wypisując na dole arkusza papieru swoje imię i nazwisko a nad niem imię i nazwisko ojca po lewej a imię i nazwisko matki po prawej stronie a nad każdem z nich zkolei imię i nazwiska ich rodziców itd., to zapewne już w trzeciej generacji wstecz, to jest u pradziadków i prababek znajdziemy te same nazwiska po lewej stronie, t. j. po stronie ojca i po prawej, t. j. po stronie matki, czyli, że rodzice względnie jedno z rodziców naszej babki ze strony matki, byli równocześnie rodzicami dziadka naszego po stronie ojca. W czwartej i piątej generacji wstecz takich wspólnych nazwisk po jednej i drugiej stronie będzie coraz więcej. Jeżeli takie „duplikaty" w naszym wykresie genealogicznym zaczniemy skreślać, to liczba naszych przodków zacznie się gwałtownie zmniejszać.

I nie może być inaczej. Na ziemi — im dalej wstecz się cofać będziemy — **coraz mniej, a nie coraz więcej znajdziemy ludzi.** W Europie, która liczy dzisiaj kilkaset miljonów mieszkańców, żyło na początku ery chrześcijańskiej może zaledwie kilka miljonów.

Takie wykresy genealogiczne, **to najnowsza zdobycz nauki**, a raczej najnowsza i niezmiernie **cenna pomoc przy badaniach naukowych nad człowiekiem,** jego właściwościami, jego psychiką i jej zagadkami.

Drogą poszukiwań metrykalnych i innych można w większości wypadków sporządzić bardzo dokładny wykres genealogiczny każdego człowieka i stwierdzić nazwiska wszystkich jego przodków zarówno po kądzieli jak i po mieczu, t. j. po stronie matki jak i ojca. Jeże uda się jeszcze drogą poszukiwań zdobyć dokładne informacje o każdym z tych przodków, jeżeli uda się zdobyć dane, dotyczące ich charakteru, historji życia, zawodu itp. — jeżeli w dodatku uda się odnaleźć ich podobizny i wszystko to w genealogicznym porządku rozmieścić na tablicy, tak aby nici i stosunek prokrewieństwa rzucał się natychmiast w oczy, to **taka tablica staje się niezmiernie cennym dokumentem,** pozwąlającym w wielu wypadkach z największą dokładnością określić zalety, wady, cechy charakterystyczne i **przypuszczalne wyniki życiowe człowieka,** będącego **produktem wartości fizycznych, moralnych i umysłowych swoich przodków.**

Nauka o dziedziczności wykazała bowiem niezbicie, że każdy człowiek jest takim produktem masy spadkowej swoich przodków, zarówno ze strony matki jak i ze strony ojca. Zapuszczanie się w szeregi swoich przodków jest przedsięwzięciem tak interesującem i pełnem niespodzianek, jak żadne inne. Odkrywamy często, że w niedalekiej generacji **otrzymaliśmy domieszkę krwi, którą dzisiaj uważamy za najzupełniej obcą.** Znajdziemy w szeregach naszych przodków ludzi wszelkich zawodów i wszelkich klas społecznych, znajdziemy w nich może uczonych i utalentowanych artystów, mężów stanu i polityków — a może znajdziemy i takich, którzy skończyli na szubienicy lub pod mieczem katowskim albo w murach więzienia — znajdziemy zdrowych i chorych...

Dla psychologa, dla lekarza, dla filozofa, taka tablica przodków stanowi klucz do rozwiązania niejednej zagadki psychicznej, do wyświetlenia niejednej tajemnicy, **niejednej tragedji człowieka żyjącego...**

Tablica genealogiczna jest dokumentem niezmiernie wartościowym także i **z punktu widzenia społecznego i państwowego.** W ilu to rodzinach zachowały się ślady krwi wspaniałych rodów i wspaniałych ludzi — w żyłach ilu to ludzi płynie **krew fatalna i przeklęta?**

A dla kryminologa i sędziego — ileż **to** zagadek wyświetlić może taka tablica. Oto przykład: W celach naukowych zrekonstruowano w Niemczech tablicę genealogiczną pewnej kobiety, karanej wielokrotnie za stręczenie do nierządu i za pijaństwo. I cóż się okazało? Stwierdzono nazwiska i pewne szczegóły biograficzne około 800 przodków. Z tych ośmiuset — 700 karanych było sądownie przynajmniej raz w życiu. Dalej było wśród nich **342 alkoholików, 127 prostytutek, 37 ciężkich zbrodniarzy,** straconych lub skazanych na dożywotnie kary. Przy tej sposobności wyliczono także, że w kilku generacjach **przodkowie tej kobiety narazili państwo na 12 miljonów marek kosztów sądowych i wymiaru sprawiedliwości.** Jednem słowem cacana rodzinka...

Ten jeden drastyczny przykład wskazuje jak niezmiernie ważne i rozległe perspektywy otwiera przed nauką badanie tablic genealogicznych. I do jakich wniosków siłą rzeczy nauka ta będzie musiała prędzej czy później doprowadzić. Eugenika jest już dzisiaj rzeczą uznaną. I może bliżej, niż się komukolwiek wydaje jesteśmy od zrozumienia, że np. **w interesie społeczności i państwa leży, by nie dopuścić do tego, aby taka jednostka, jak wspomniana wyżej kobieta nie pozostawiła po sobie potomstwa,** które przecież musi być takie same, jaką była większość przodków.

Do niedawna drzewa genealogiczne posiadały tylko stare rody arystokratyczne. Dzisiaj rzecz ta staje się aparatem naukowym i własnością nauki a w niedalekiej przyszłości stanie się zapewne instrumentem polityki społecznej i państwowej. Bo też przesądem i nonsensem oczywistym jest twierdzenie, że istnieją jakieś stare i nowe rody. **Wszystkie rody są jednakowo stare** i wszyscy ludzie są ze sobą spokrewnieni.

Stanisław Horwat.

LITERATURA, SZTUKA, TEATR, FILM

O krytyce muzycznej

Goethe pisał, że krytyk to jest „ein Mann, der Alles weiss und Nichts kann".

Nie mam najmniejszego zamiaru obalać twierdzenia wielkiego poety i filozofa; niechaj to czynią ci, których to zdanie dotyka. Piszącego te słowa pobudza ono jeno do pewnych refleksyj na temat krytyki muzycznej.

Krytyka, lub — jak się zwykło mówić — recenzja muzyczna ma na celu informowanie i pouczanie szerszej publiczności; musi więc być z prawdziwą i fachową umiejętnością pisana, by ludzie, nie mogący bądź nie umiejący sformułować sobie własnego sądu, mogli na niej z całem zaufaniem polegać. Uniwersytet lwowski posiada katedrę muzykologji, a docent tegoż uniwersytetu, dr. Adolf Chybiński, żąda od krytyka nietylko wyjątkowego, wrodzonego uzdolnienia muzycznego, ale i specjalnego wykształcenia uniwersyteckiego. To jest szeroka skala wymagań ale słuszna, jeżeli zważymy odpowiedzialność i siłę drukowanego słowa, a jednocześnie i krzywdy, jakie mogą być wyrządzane artystom bez żadnej przytem dydaktycznej korzyści, jaką krytyka fachowa powinna przynieść czytającemu ogółowi.

Dla artysty oklask słuchaczów jest największą zapłatą. Ten nikły, głupi oklask — zabawny symbol hołdu — jest ambrozją dla artysty, droższą od chleba powszedniego.

Artysta w swojej modlitwie prosi niebo o ten oklask, bo niema innego dowodu, że wzruszył, niema innego sposobu porozumienia się z audytorjum. A nazajutrz czeka z lękiem wyroku, ferowanego przez przygodnego augura, który go dla wywyższenia siebie ku uciesze gawiedzi w bezodpowiedzialny sposób przez swą ignorancję ukąsi. Bo ten artysta wie, że większość tych panów, mających uszy rozwinięte ponad miarę ludzką i typ normalny, nie była w stanie go zrozumieć. On nie boi się fachowego krytyka, bo ten odróżni ziarno od plewy i jest przy całej swej surowości najwzględniejszy, ponieważ poznał osobiście ciernistą drogę, która prowadzi per aspera ad astra. Drży tylko przed tymi recenzentami, którzy czyhają na swój żer. Biada skrzypkowi, któremu się kilka flażeoletów nie uda, biada waltorniście, który skiksuje (co najczęściej nie jest od niego zależne), nie zazdroszczę pianiście, gdy gra kompozycję Prokofjewa lub Szymanowskiego, wychodzącą poza ramy kompetencyj wielkiego sprawozdawcy, który wolałby, ażeby kocioł pękł timpaniście, markującemu pioruny w „Symfonji fantastycznej" — Berlioza, bo byłoby o czem pisać i, co ważniejsze, na pewniaka.

W tem miejscu pozwolę sobie przytoczyć autentyczny, a charakterystyczny żart znanego z dowcipu wiolonczelisty, Eli Kochańskiego, który w czasie wykonywania sekstetu Schönberga spojrzał z miną litośną na jednego z krytyków i, wskazując nań, szepnął do ucha grającemu z nim na estradzie koledze: „Ciekaw jestem, ile on dałby za to, żeby się mógł dowiedzieć, czy mu się to podoba".

Rzecz charakterystyczna, że krytykom literackim stawiamy tak wiele wymagań, a od krytyków muzycznych nie żądamy prawie niczego. Muzyka jest tą „szkapą", na którą włazi, kto chce. A dlatego niema w tem nic dziwnego, że Maks Reger zwykł był wysyłać do krytyków, piszących nieżyczliwie o jego utworach drukowane pocztówki z następującą treścią: „W tej chwili siedzę w najdyskretniejszym zakątku mego mieszkania i mam krytykę pańską przed sobą; za chwilę będę ją miał za sobą".

Znany muzykolog, dr. Józef Reiss, pisze, że najbardziej zabagnioną dziedziną życia muzycznego w Krakowie jest właśnie krytyka muzyczna. Na tem polu panują tam podobno stosunki i poglądy, świadczące o dezorjentacji ogółu i wypaczeniu wszelkich kryterjów. Recenzje zajmują się u nas — pisze krakowski muzykolog — osobą wykonawcy, czy to pianisty, skrzypka, śpiewaka, jemu się wydaje cenzurkę, a program schodzi na dalszy plan, bo omawiania utworów, bądź analizy wykonania może się podjąć tylko siła fachowa. Kraków, bynajmniej nie jest pod tym względem odosobniony".

O biedna publiczności! „Oni sobie pisują, a Ty sobie czytujesz" w myśl rosyjskiego satyryka Sałtykowa. A kompromitują się oni w oczach szczupłej garstki ludzi wtajemniczonych t. j. samych wykonawców i słuchaczów muzycznie wykształconych. A publiczność t. zw. szersza?... Profesor paryskiego konserwatorjum Isnardon opisuje w swej książce „Le chant théatrale" następujący fakt: „W paryskiej wielkiej Operze śpiewał Caruso. Pewnego razu spóźnił się na początek widowiska i znaną arję z „Cavalerji Rusticany" zaśpiewał za kulisami jakiś średniej miary tenor. Publiczność, będąc przekonaną, że słyszała Carusa, nagrodziła Kogutini'ego długo niemilknącym huraganem oklasków". Taką dozę krytycyzmu posiada publiczność paryska, a cóż dopiero powiedzieć o naszej, która czerpie oświatę muzyczną z krytyk, których autorowie poza omówieniem, czy na sali było zimno i czy była wypełniona po brzegi „doborową publicznością", nic nie mają do powiedzenia.

Feliks Halpern.

Magnaci przemysłu i ich malarze

W Essen zamknięta została w tych dniach wystawa artystyczna pod nazwą: „Sztuka i Technika". Niezmiernie interesujące wrażenia z tej wystawy znajdujemy w jednem z niemieckich pism artystycznych. Ponieważ temat zainteresuje niewątpliwie także i czytelnika polskiego, uwagi te zamieszczamy poniżej.

* * *

Gdy ktoś uprzytomni sobie w pamięci posąg Chefrena w Kairo albo portrety panujących, malowane przez takiego Tycjana lub Velasquez'a, nie potrzebuje już przypominać sobie dat historycznych — dzieje wielkiej przeszłości, dzieje wielkich czasów minionych staną przed nim, jak żywe. Odczuje bezpośrednie ich tchnienie. Bo też nie wspaniałym czynom swoich królów i wodzów zawdzięczają minione potęgi i władztwa swoją nieśmiertelną sławę, lecz sztuce wielkich mistrzów, którzy w arcydziełach uwiecznili bohaterstwa tych epok. Oto prawdziwe źródło nieśmiertelności!

Teraźniejszość, którą od kilku pokoleń przeżywamy stoi pod znakiem rozwoju sił gospodarczych. Przemysł a nie wojna, fabryki a nie pułki zbrojne, decydują o potędze narodów, o prawdziwem i skutecznem panowaniu nad światem. Walki o to panowanie rozgrywają się na giełdach i w salach konferencyjnych, a nie na pobojowiskach.

I oto nasuwa się pytanie: czy — gdy dzisiejsza teraźniejszość stanie się zamierzchłą przeszłością, gdy fabryki, huty i kopalnie zapadną się tak, jak zapadły się pomniki tylu potężnych cywilizacyj — czy teraźniejszość ta w arcydziełach sztuki żyć będzie nieśmiertelna?

Na to pytanie wystawa w Essen nie dała zadowalniającej odpowiedzi. Wisiał tam tylko jeden obraz, który jako wyraz przemysłowej wielkości i potęgi dzisiejszych czasów także i u przyszłych pokoleń zachowa swoją wartość — portret Waltera Rathenaua, pędzla Edwarda Muncha. Olbrzymie energje, żyjące w świecie techniki, biją od tej postaci, a nieprzystępne spojrzenie charakteryzuje doskonale współczesnego władcę świata, który zaprzęga w służbę swych idei miljony rąk roboczych. Jakże łatwo wyobrazić sobie tę postać z biczem — symbolem potęgi faraonów — w ręku.

Ale to pomnikowe nieomal dzieło, w którem duma i duch łączą się w cudowną harmonję, stoi odosobnione w gronie przeszło stu innych. Tych sto innych, to portrety powszechnie znanych potentatów przemysłu i finansów, wodzów i władców dzisiejszej gospodarki. Jedni wyglądają jak prowincjonalni aptekarze lub pocztmistrzowie, inni malowani są na jowialnych — wyglądają tak, jak ci poczciwi mieszczuchowie, którzy lubią po dobrym obiedzie opowiadać pieprzne kawały. Prezes koncernu „I. G." („Interessen-Gemeinschaft der Farben Industrie" — największy koncern chemiczny na świecie, rozporządzający kapitałem 500 milj. dolarów — przyp. tłumacza) wygląda w gronie członków rady, jak czcigodny prezes chóru kościelnego w otoczeniu odświętnie wystrojonych członków chóru albo prezes towarzystwa weteranów. Albert Ballin (zmarły generalny dyrektor towarzystwa okrętowego Hamburg-Amerika-Linie, przyjaciel cesarza Wilhelma II — przyp. tłumacza) ze swoim słodkim uśmiechem przypomina kupca, sprzedającego w prowincjonalnem mieście pierniki lub świece. Ale pocóż wyliczać, kiedy o wszystkich tych stu postaciach, patrzących na nas z płócien, oprawnych w kosztowne ramy, nic trafniejszego nie można powiedzieć, jak tylko zacytować znaną powszechnie formułkę z paszportów i listów gończych: „znaki szczególne: żadne".

Jeśli w przyszłości zechce ktoś z tych portretów odczytać dzieje naszej współczesnej gospodarki, ten zapewne nie dojdzie do takich pojęć, jak „potęga", „siła", „znaczenie światowe".

Niechaj nikt nie próbuje powiedzieć na to, że ludzie ci naprawdę tak wyglądają. Gdyby i rzeczywiście tak było, to tem większy obowiązek artysty uczynić ich na płótnie innymi — malować nie banalne twarze, ale to co ci ludzie reprezentują, czem są i jaką rolę w teraźniejszości odgrywają. Czy to nie Adolf Menzel stworzył twarz i postać Fryderyka Wielkiego mimo, że malować mógł go dopiero kilkanaście lat po jego śmierci? Chcecie wiedzieć, co Menzel malował? Malował postać i rysy Fryderyka Wielkiego takie, jakiemi widzą je serca ludzi. Nikt dzisiaj nie może powiedzieć, czy portret Menzla jest podobny do Fryderyka Wielkiego — ale kto o to pyta? Bije z tego portretu cała wielkość epoki Fryderykowskiej i w tem rzecz.

Zresztą panowie ci, doprawdy, nie wyglądają w życiu tak, jak ich tutaj namalowano. Kto patrzy uważnie, ten odnajdzie smukłą, arystokratyczną postać Rathenaua w każdem środowisku przemysłowem. Kierownicy wielkich koncernów są z reguły dobrymi sportowcami. Nestor reńsko-westfalskiego przemysłu węglowego, mając lat siedemdziesiąt, zaliczał się jeszcze do najlepszych jeźdźców i brał udział w najtrudniejszych polowaniach konnych. Są inni, w których oczach widać dalekie uduchowione spojrzenie badaczy i ludzi nauki, którzy wolne swoje chwile spędzają nad książką lub arcydziełami sztuki, zbie-

Tajemnica w powieści współczesnej

Pierwiastek irracjonalizmu w sztuce jest zjawiskiem bardzo starem. Już w Rzymie stwierdzono, że fantazja wielkich twórców nie lubi dróg normalnych, że *„nullum magnum ingenium sine mixtura dementiae"* (niema wielkiego umysłu bez domieszania obłędu). Przez całe średniowiecze walczono w sztuce z czarami, djabłami, zjawami i tajemnicami życia. W twórczości literackiej od Szekspira do Słowackiego i czasów dzisiejszych roi się od duchów, widziadeł i wszelkiego rodzaju zagadek, w których jednostka staje wobec wydarzeń, niedostępnych dla rozumu ludzkiego, a będących już to wyrazem wyobrażeń o życiu pozagrobowem, już to przerażenia wobec ukrytych potęg natury ludzkiej.

Obok tego irracjonalizmu wyłonił się drugi, specjalny, oparty na halucynacyjnych wizjach, niezwykłych objawach intuicji, najbardziej nieuchwytnych lub przedziwnie plastycznych chimerach, które, występując na tle codziennego, normalnego życia, wciągają bohaterów opowieści w zawrotny krąg wypadków, a w czytelniku budzą dreszcze niepokoju. Ta literatura specjalna miała kilku genjalnych przedstawicieli, jak: *Hoffman, Edgar Poe, Tomasz Quincey, Gerard de Nerval*, których utwory, wciąż czytane i komentowane, znajdują na całym świecie licznych naśladowców, jako arcywzory gatunku.

W Polsce irracjonalistów tego typu mieliśmy do ostatnich czasów niewielu. Wypadkiem zupełnie odosobnionym był talent *Ludwika Sztyrmera*, który przed ośmdziesięciu laty podniecał wyobraźnie takimi utworami, jak: *„Kataleptyk"*, *„Frenofagjusz i Frenodesty"*, *„Dusza w suchotach"* itd. Po wojnie objawy irracjonalizmu w powieści polskiej rozmnożyły się w sposób zastanawiający. Uciekając od walk i szarych dni, pisarze budować sobie poczęli sztuczne światy wzruszeń „niesamowitych". Na czele ich stanął posiwiały już *Przybyszewski*, którego fantazja pozostała pod koniec życia tak samo pełna dziecinnego strachu, jaką była w zaraniu jego pisarskiem.

Sugestja i halucynacja odegrała dość znaczną rolę w całej jego twórczości. Osławioną *„nagą duszę"* wyobraził sobie Przybyszewski niegdyś, jako „organ eksatycznych wizyj, najwyższego erotyzmu, w jakim Rops stworzył swoje *„Sataniques"*, a Chopin „Sonatę B-moll". Uważał, że „dusza nigdy nie była czysta, delikatna i marząca, jak chcą fałszywi idealiści — ona jest wybuchem sił wulkanicznych, wieczną walką Jakóba z Aniołem, jest krzykiem, wstrząsającym całą naturą, groźną rozpaczą konającego olbrzyma, który chciał zdjąć z nieba słońce i ginie od jego promieni". Przybyszewski bardzo wcześnie zląkł się własnych marzeń, poraziły go wizje własnej wyobraźni tak mocno, że na dnie „nagiej duszy" ujrzał rzecz starą, znaną powszechnie, a mianowicie: sumienie społeczne.

U niektórych jego bohaterów wyrzuty sumienia dochodziły do najwyższego stopnia, przy którym występują strachy i halucynacje (np. Goście). Ten stan umysłu twórczego przetrwał do samej śmierci pisarza. W ostatniej jego powieści *„Il regno doloroso"* powróciły jeszcze raz stare (i cokolwiek dziś śmieszne) *„dzieci szatana"*, ale wróciły już w kształtach świadomie autentycznych. Powieść miała być podobno ściśle historyczną. Chodziło o możliwie pełny obraz djabelskich praktyk czarownic, które autor poznał i przestudjował w dziełach najwybitniejszych demonologów średniowiecznych i późniejszych. Pretekstem do opowiadania był głośny niegdyś proces czarownic w małej baskijskiej prowincji *Labourt*, przeprowadzony w roku 1610 przez słynnego demonologa, prokuratora *De Lancre*. Skłębienie obu elementów powieści — czarownic i ich sędziów — w jedną wizję władzy szatana, zbyt późne może w wieku XVII, jest nietyle świadectwem historji, ile owocem wyobraźni Przybyszewskiego i jego talentu. Obok orgjastycznych wizyj, które straciłyby wiele ze swej siły, gdyby były wyłożone w języku bardziej literackim, nie brak w *„Il regno doloroso"* obrazów, przeznaczonych raczej dla samogwałtu wyobraźni, niż dla pełni wyrazu artystycznego.

Kierunek twórczości najwybitniejszych halucynantów i fantastyków literackich jest zawsze koniecznością fatalistyczną. Bywają tak głęboko wzruszeni własną wizją, że tracą niekiedy poczucie odróżniania rzeczywistości od złudzenia. Niekiedy wchodzą tu w grę podniecające środki fizyczne, ktore powiększają jeszcze mękę wizjonera (wino u *Hoffmana*, opium u *Quincey'a*, alkohol u *Poego i Przybyszewskiego*).

P. Stefan Grabiński doszedł do wniosku, że takie same afekty wrażeń wydobyć można literacko przez kombinowanie fantastycznych wydarzeń i zboczeń na chłodno.

Przez dziesięć lat ogłosił siedem tomów tego typu: „Demon ruchu", „Szalony pątnik", „Ciemne siły", „Niesamowita opowieść", „Księga ognia", „Salamandra", „Cień Bafometa". Giętki, żywy, pełen pomysłowości talent autora przebywa w nich wyłącznie w dwuch dziedzinach: z jednej strony wszelkiego rodzaju zagadkowe „ciemne siły", wiedza tajemna, objawy medjumizmu etc. — z drugiej przygody, charaktery i zjawiska, stawiane irracjonalnie, a podawane z taką plastyką i wyrazistością realistyczną, ażeby czytelnik mógł uwierzyć, że to wszystko najprawdziwszą prawda i ażeby wstrząsnął nim dreszcz przerażenia. Fantazja p. Grabińskiego bardzo rzadko przybiera kształty poetyckie. Zazwyczaj opowieści jego są wynikiem przedziwnego skojarzenia spokojnych, logicznych rozumowań z pomysłem, wkraczającym w dziedzinę obłędu lub w sferę zupełnej dowolności tajemniczych lub absurdalnych faktów. W tem skojarzeniu niema obrazów przypadkowych, płynących podświadomie z samej istoty talentu. P. Grabiński zdaje sobie doskonale sprawę z elementów swego tworzywa, a ponieważ panuje nad nimi mocno, więc wybornie wie, jak się to odbywa w retortach jego magji psychopatologicznej. „Czyny—mówi — i słowa warjatów sprawiają niekiedy wrażenie zastygłych symbolów, pod których sztywną powłoką bije życie swoiste, oryginalne, a straszne zarazem. Brak środków ekspresji i kruchość materjału do wypowiedzenia się — oto zwyczajna tragedja miljona bzików, oryginałów, warjatów, opętańców. Kto wie, czy to, co dziś jest lub wydaje się obłąkaniem, za lat sto, dwieście lub trzysta nie będzie najgłębszym sensem".

Taki punkt widzenia udzielił specjalnej dynamiki powieściom p. Grabińskiego. Zazwyczaj twórcy literaccy wprowadzają obłą-

O rozwój przemysłu potasowego

Ciekawą sprawę poruszył p. inż. Z. Plałowski w broszurze p. t. „Polski przemysł potasowy". Poruszył sprawę, która powinna nas żywo obchodzić ze względu na rozwój i przyszłość naszego rolnictwa. Sprawą tą jest produkcja nawozów potasowych w Polsce.

Nawożenie nawozami mineralnemi, a tem samem i potasem jest jednym z wielu czynników, przyczyniających się do podniesienia produkcji rolnej. Jeżeli chodzi o potas, to jest on jednym ze składników odżywczych roślin uprawnych zwłaszcza okopowych. Liczne doświadczenia dowiodły, że zastosowanie nawozu potasowego pod okopowe podniosło w dwójnasób plon. — W dużej ilości wymagają potasu strączkowego i motylkowe, a w pewnych ilościach mniejszych lub większych wymaga go każda roślina. Gleby zaś nasze nie są zasobne w ten składnik. Tak duże u nas przestrzenie gleb piaszczystych nie posiadają go prawie wcale, zaś gleby żyźniejsze odznaczają się pewną zawartością potasu, jednakże w ilości niedostatecznej dla zaspokojenia potrzeb roślin uprawianych na nich. Tak samo duże obszary łąk wymagają nawożenia potasem. Dowodzi to, że chcąc zaspokoić potrzeby rolnictwa pod względem potasu, potrzebne są ogromne ilości tego nawozu.

To też mając w kraju swoje własne złoża i to obfite, powinniśmy zadbać o ich eksploatację, przy pomocy własnych sił, aby zaspokoić potrzeby krajowe w pierwszym rzędzie, a następnie mieć na eksport.

Jednakże jak z przedstawienia w broszurze wynika, stan naszego przemysłu potasowego, aczkolwiek zapotrzebowaniu krajowemu nie można nastarczyć, gdyż corocznie całą produkcję wyprzedaje się, budzi poważne obawy ze względu na brak kapitału, jak również na politykę trustu zagranicznego, który zgromadziwszy w swych rękach całą światową produkcję potasu, dyktuje ceny zgodne z celami własnej polityki, pragnie zdusić w zarodku młody przemysł potasowy w Polsce, by opanować całkowicie wszystkie rynki światowe.

Wobec obecnego stanu rozbudowy kopalni w Kałuszu i Stebniku, o których można śmiało powiedzieć, że zaczynają się dopiero rozwijać, należy stwierdzić, że sytuacja na przyszłość zapowiada się groźnie. Tym groźniej, że jedynie złoża polskie nie objęte są trustem pod nazwą Kalisyndykatu, a z powodu swej obfitości, w razie pomyślnego rozwoju, mogą stać się poważnym konkurentem na rynku światowym i postawić kres hegemonji Kalisyndykatu. — Specjalna polityka Kalisyndykatu polega na tem, by dyktować wysokie ceny za nawozy potasowe, co już obecnie widzimy, gdyż ceny wyznaczone dla krajów, które złóż potasowych nie posiadają, są w stosunku do soli potasowej dwukrotnie, a dla kainitu nawet trzykrotnie większe, niż w krajach, w których złoża znajdują się i kopalnie nie należą do trustu. To też dla Francji i Niemiec ceny są najniższe. Ameryka zaś płaci ceny najwyższe, tak wysokie, że ostatnio został wytoczony trustowi proces o wyzysk. Polityka ta obejmuje i Polskę, tylko, że w stosunku do Polski właśnie w celu niedopuszczenia do rozwoju przemysłu potasowego, wyznaczone zostały ceny niskie, konkurencyjne, które siłą rzeczy wstrzymują rozwój kopalni w Kałuszu i Stebniku. — Celem tej polityki jest zagarnięcie złóż soli potasowych w swoje ręce, a następnie dyktowanie cen, które obecnie płaci Ameryka i inne kraje, nieposiadające własnych złóż. W tym właśnie tkwi niebezpieczeństwo. Powstaje więc obowiązek rolnika, a także państwa i społeczeństwa polskiego, obrony swoich własnych interesów.

Obowiązkiem rolników jest wobec tego, że nawozy potasowe są poważnym środkiem zwiększenia produkcji płodów rolnych, podniesienie zużycia, zwiększenie zapotrzebowania na nawozy potasowe, co zmusi kapitały krajowe do zainteresowania się tym przemysłem. Wszak zużycie nawozów potasowych u nas jest nikłe. Wielkopolska do obecnego czasu nie zużywa tej ilości nawozów potasowych co przed wojną. Poza Wielkopolską w całej Polsce, pomimo kilkakrotnie zwiększonego obszaru, zużycie jest mniejsze, niż w Wielkopolsce. Do podniesienia więc konsumcji nawozów pole jest duże i zadanie jest wdzięczne, gdyż dające wzamian zwiększoną produkcję płodów rolnych. Rolnik, myśląc o przyszłości, musi sobie zdać sprawę z tego, że w jego interesie leży to, by mieć wpływ na produkcję nawozów potasowych i z tego powodu zainteresowanie wśród rolników powinno wzrosnąć. Tam powinny być skierowane kapitały krajowe, winien tym się zainteresować rząd, by uchronić przed grożącem niebezpieczeństwem rolnictwo i by doprowadzić do silnego rozwoju kopalnie w Kałuszu i Stebniku, by eksploatować dość liczne złoża jeszcze nie ruszone w Małopolsce, Kongresówce, tak, by produkcja nietylko zaspokoiła wzmożone do rzeczywistej potrzeby zapotrzebowanie rolnictwa, lecz także, by można było eksportować. Należy to zrobić własnemi siłami i kapitałami. Współdziałać w tym powinni przedewszystkiem rolnicy, gdyż w ich interesie to leży. Kapitał zagraniczny interesuje się tą sprawą i chętnie przy rozbudowie przemysłu potasowego współdziałałby, lecz jednocześnie uzależniłby rolnika od siebie i dyktowałby ceny.

Do tego nie należy dopuścić w dobrze zrozumianym interesie państwa, rolnictwa i rolnika.

Inż. Stefan Łaguna.

Wojewódzka Wystawa Rolniczo-Przemysłowa
w Białymstoku

Powstała z inicjatywy prywatnej Wojewódzka Wystawa Rolniczo-Przemysłowa w Białymstoku odbyła się w dniach 16—23 września. — Protektorat nad wystawą objął Pan Minister Rolnictwa Karol Niezabytowski, zaś honorową prezesurę Pan Wojewoda Białostocki, Karol Kirst.

W pięknym parku zamiejskim „Zwierzyniec" malowniczo rozlokowały się pawilony z eksponatami działów: hodowlanego, rolnictwa, leśnictwa, ogrodnictwa, pszczelnictwa, przemysłu ludowego, działu oświatowo-statystycznego i krajoznawczego oraz olbrzymi pawilon przemysłu i handlu w gmachu teatru letniego. Cały dorobek 10-letniej pracy Województwa Białostockiego był reprezentowany zgodnym wysiłkiem wszystkich sił twórczych tej jednej z obszerniejszych jednostek administracyjnych naszego kraju. To też zainteresowanie tą pierwszą imprezą, urządzoną na taką skalę było olbrzymie. — W ciągy tygodnia zwiedziło wystawę 40.000 osób, w tem około 5.000 z poza Białegostoku,

Szczególnie zwracały uwagę odwiedzających przemysłowe pawilony firm: „Jan Kucharski Synowie" — fabryka kafli i pieców przenośnych oraz budowa pieców, „Aquasan" d-ra Perelsztejna — fabryka wód mineralnych, „Ursus" oraz przepięknie urządzony obok kawiarni pawilon firmy „Józef Czumt" — zakłady radjoelektryczne. Wieczorem na ciemnem tle w głębi terenu, na prawo od wejścia, odbijał się bogato iluminowany oryginalny pawilon browaru „Dojlidy".

W ogólnym pawilonie przemysłowym wyróżniały się słynne koce białostockie firm: „Oswald Trylling i Syn, Sp. Akc.", „S. H. Cytron, Sp. Akc." w Supraślu i in., plusze jedwabne i welwety firmy „T-wo Białostockiej Manufaktury Eugenjusz Beker i S-ka", wyroby dykty firmy „E. Hastach" oraz eksponaty firmy „Łosośna Nadniemeńska" — sukna i samodziały. Bardzo ładnie było urządzone „miejsce" spółdzielni spożywczej „Zjednoczenie" w Białymstoku.

Powszechną sensację budziła całkowicie wybudowana chata kurpiowska z bocianiem gniazdem na dachu, wewnątrz zarzucona wyrobami kurpiowskiego przemysłu ludowego, przeważnie kilimami.

Imponująco przedstawiał się stylowy pawilon powiatu ostrowskiego.

W dziale hodowlanym odznaczone zostały wspaniałe okazy czerwonej polskiej rasy reprezentowane w oborach ziemiańskich i włościańskich. Zasługuje na specjalną uwagę grupa byczków rocznych p. Pawła Kuleszy z Gołasza Puszczy pow. Wysoko-Mazowieckiego, który też został nagrodzony medalem srebrnym Ministerstwa Rolnictwa.

Zaznaczyć należy, że sfery rządowe otoczyły wystawę troskliwą opieką moralną i uznając olbrzymie znaczenie wystawy wojewódzkiej w Białymstoku nietylko gospodarcze, ale i polityczne, poświęciły jej sporo uwagi.

W sobtę, dnia 22. IX. r. b. zaszczycił wystawę swoją obecnością Pan Prezes Rady Ministrów prof. Kazimierz Bartel, zaś w dniu zamknięcia był obecny Pan Minister Rolnictwa Karol Niezabytowski. Opuszczając wystawę, Pan Premjer wyrzekł znamienne słowa: **„jedno stwierdzam z zadowoleniem — widzę tu pracę na każdem polu i cieszę się, że nie znalazłem błagi, która niestety wciąż nam towarzyszy".**

Wojewódzka Wystawa w Białymstoku spełniła swoje zadanie. Wykazała tężyznę mięśni i ducha obywateli Województwa, która się rozwinęła w ciągu 10 lat istnienia Niepodległej Rzeczypospolitej, zbliżyła i zapoznała przedstawicieli najróżnorodniejszych odłamów pracy twórczej z jednej strony i konsumentów z drugiej oraz dodała bodźca do organizowania wystąpienia na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu z pokaźnym dorobkiem wyścigu pracy wszystkich dzielnic Odrodzonej Naszej Ojczyzny.

R. Gołębiowski.

Krótkie wiadomości gospodarcze

KREDYTY CEGIELNIANE. — Bank Gospodarstwa Krajowego, pragnąc przyczynić się do wzmożenia produkcji cegły i zabezpieczenia w ten sposób pełnego zapotrzebowania cegły w tegorocznym sezonie budowlanym, zorganizował na wiosnę b. r. akcję kredytową dla cegielń. Kredyty te miały dać cegielniom potrzebną gotówkę obrotową.— Termin spłaty tych kredytów upłynął ostatnio. Cegielnie zwróciły się oczywiście o prolongatę. Bank Gospodarstwa Krajowego, wychodząc z założenia, że dzięki dobrej konjunkturze i dobrym cenom cegły, cegielnie znajdują się w obecnej chwili w takiej sytuacji, że mogą otrzymane kredyty zwrócić, prośbę uwzględnił tylko częściowo. Mianowicie połowa otrzymanych sum winna być zapłacona niezwłocznie, druga zaś połowa za dwa miesiące.

* * *

WZMOŻENIE PRODUKCJI TŁUSZCZÓW. — Jak już donosiliśmy rząd projektuje podniesienie stawek celnych na zagraniczne tłuszcze zwierzęce. Ażeby jednocześnie podnieść krajową produkcję tłuszczów wieprzowych, Państwowy Bank Rolny przystępuje już do akcji kredytowej dla hodowców świń tuczonych.

* * *

Jak z Paryża donoszą, zebrał się tam *europejski kartel szyn* na posiedzenie, zwołane przez interesantów belgijskich. Między innemi była omawiana sprawa podwyżki cen o 2—6 szyl. za tonnę. Kroku tego oczekiwano ogólnie po niedawno dokonanej podwyżce cen w tej samej wysokości za drut walcowany.

* * *

Prezes fabryki samochodów General Motors Co, A. F. Sloan, udający się do Europy na inspekcję tamtejszych oddziałów oświadczył, że wpływy pierwszych dziesięciu miesięcy r. b. przewyższają wpływy całego roku 1927. Ogólny dochód 1928 r. będzie prawdopodobnie stanowił rekord, tak że rada nadzorcza będzie w listopadzie rozważała podwyżkę zwyczajnej dywidendy.

* * *

Z Moskwy donoszą, że między japońskiem towarzystwem Kito Karavuto Sekir i rosyjskiemi kompetentnemi władzami zawartą została umowa, na mocy której towarzystwo to nabyło wszystkie *rosyjskie źródła nafty* na Sachalinie. Dla eksploatacji źródeł utworzył się specjalny trust sowiecki, który wyśle robotników z Baku na Sachalin. Pierwszy oddział, złożony z 325 ludzi, przybył już do Władywostoku.

NACZELNA IZBA GOSPODARCZA W POLSCE i ZAGRANICĄ.

Ks. Dr. A. Roszkowski, prof. Łódzkiego Seminarjum Duchownego: *„Naczelna Izba Gospodarcza w Polsce i zagranicą"* — Łódź — 1928. Nakład autora.

W związku z przewidywaną zmianą konstytucji polskiej, na porządku dziennym, jako jedna z najważniejszych spraw ustrojowych, staje sprawa organizacji naszego życia gospodarczego, sprawa stworzenia ustroju gospodarczego, w ramach którego życie gospodarcze mogłoby się jaknajlepiej i jaknajłatwiej rozwijać. Konstytucja marcowa kwestję ustroju gospodarczego zbyła kilkoma ogólnikowemi dezyderatami i zaleceniami, dzięki czemu inicjatywa ustawodawcza w tej dziedzinie nie została należycie pobudzona.

A tymczasem wszędzie w świecie tej właśnie dziedzinie zagadnień poświęca się najwięcej uwagi. Jesteśmy też świadkami najróżniejszych wysiłków, prób i eksperymentów, od rewolucyjnych reform do najostrożniejszych i niezdecydowanych posunięć.

Książka ks. Roszkowskiego, młodego, ale pełnego erudycji i energji ekonomisty, dla którego szata kapłańska stała się nie przegrodą, lecz przeciwnie najdoskonalszym łącznikiem z światem i społeczeństwem, wprowadza czytelnika w całokształt zagadnienia ustroju gospodarczego. Przewodnik jest bezstronny i objektywny w stosunku do prądów i zjawisk, wobec których nastrojony jest krytycznie — zaś poglądów, które podziela, broni rzeczowemi i naukowemi argumentami. Niema przeto w tej książce nic takiego, co nadawałoby jej charakter pracy tendencyjnej i propagandowej. Jest tylko sumiennie opracowanym podręcznikiem, który ułatwi czytelnikowi zorjentowanie się w przedmiocie, jaki niebawem stanie się tematem powszechnej dyskusji.

Książka jest napisana bardzo przystępnie, wykład jest jasny i treściwy.

UWAGI

Czem jest rocznica dziesięciolecia niepodległości i jak należy ją obchodzić i uczcić?

Z okazji zbliżającej się rocznicy 10-lecia Państwa utworzył się w Łodzi Komitet obchodu uroczystości, który uchwalił uczcić ten pierwszy jubileusz przez ufundowanie w Łodzi wyższej uczelni. Niezdecydowanem jest tylko, czy ma to być uniwersytet, czy politechnika. Zdania co do tego są podzielone i dlatego do dyskusji na ten temat Komitet powołał szersze grono obywateli.

Zastanawiając się głębiej nad tą sprawą, nie można oprzeć się kilku natrętnym wątpliwościom.

Pierwsza i najgłówniejsza — to pytanie, czy dziesięciolecie jest istotnie jakąś szczególniejszą uroczystością, lub nawet, jak głoszą niektóre pisma i odezwy, „doniosłą chwilą dziejową"?

Zapewne: **największą chwilą dziejową w naszej historji jest odzyskanie niepodległości.** Mieliśmy i potem jeszcze wielkie chwile utrwalenia jej: **w sierpniu 1920 i maju 1926 r.** Ale czy 10-ta rocznica tego wiekopomnego w dziejach naszych dnia, jakim był 11 listopada 1918 r., jest czemś więcej, aniżeli 9-ta, lub czemś mniej, aniżeli będzie 11-ta? Nie ulega wątpliwości, że **dzień 11 listopada jest datą, która po wsze czasy obchodzona być winna**, jako najuroczystsze i najradośniejsze święto narodowe. Nie mniej zrozumiałem jest, że w ogólnem zamiłowaniu do okrągłych licz 10-lecie obchodzone być może żywiej i radośniej. Niech po rannych nabożeństwach na wszystkich ulicach rozbrzmiewają dźwięki muzyki, niech wszystkie lokale publiczne otwarte i dostępne będą dla zabawy i uciechy, niech uświadomienie doniosłości tej daty przenika do najszerszych warstw społeczeństwa.

„Odzyskaliśmy zjednoczenie i niepodległość państwa — radujmy się!" — oto hasło, które zastąpić winno wszelkie akademje, odczyty i pogadanki. I zdawałoby się, że zorganizowanie takiego obchodu stanowić winno nietylko główne, ale jedyne zadanie Komitetu. Wszystko, co wychodzi poza to, jest stanowczo przesadą wobec nader nikłej ilości lat, jakim z punktu widzenia dziejowego jest pierwszy dziesiątek.

Kto nie wierzył wrogom naszym, iż być mamy tylko państwem sezonowem, ten nie może i nie powinien daty 10-tej rocznicy nazywać wielką chwilą dziejową, ani nadawać jej pozoru szczególnej jakiejś uroczystości. Miała swoją rację obchodzić jubileusz ten z wielkiem rozgłosem Bolszewja, w której przetrwanie nikt nie wierzył i nie wierzy w dalszym ciągu. Ale dla nas, którzy nie możemy odzyskania niepodległości uważać za nic innego, jak za zrządzenie sprawiedliwości dziejowej i którzy niezłomnie wierzymy w naszą zdolność rządzenia się samym i wyplenienia dawnych błędów — dla nas 10-lecie nie jest niczem więcej, jak tylko zakończeniem króciutkiego, pierwszego etapu na drodze naszego bytu państwowego.

Z takiego właśnie ujęcia sprawy wyrosła inicjatywa urządzenia Powszechnej Wystawy Krajowej — **jedynego przedsięwzięcia na szeroką skalę, które ma swe głębokie i słuszne uzasadnienie i nierozłączny związek z dziesięcioleciem,** jako pierwszy, wielki egzamin przed sobą i światem, jako odpowiedź na pytanie: kim jesteśmy, co potrafimy i co już zdziałaliśmy.

Dla wszelkich innych poczynań jednak 10-lecie być może tylko okazją, ale nie motywem. I jeżeli się podejmuje inicjatywę wielkich fundacyj, to nie można żadną miarą wychodzić z założenia, że muszą być stworzone, bo jest dziesięciolecie, lecz raczej należy postawić pytanie tak: czy warunki i środki pozwalają nam na zaspokojenie tej lub innej wielkiej potrzeby i związać je z datą 10-ej rocznicy odzyskania niepodległości? I dopiero po takiem postawieniu kwestji i stwierdzeniu, że się nie podejmuje zamierzenia ponad siły, należałoby bardzo dojrzale rozważyć pytanie, jaka potrzeba najgłośniej woła o pierwsze miejsce w rzędzie tych przelicznych, które jeszcze odczuwamy.

Tu właśnie przechodzimy do drugiej wątpliwości: czy powołanie do życia wyższej uczelni w Łodzi na to miejsce zasługuje i jeżeli tak, to czy zaspokojenie jej nie jest raczej zadaniem rządu, aniżeli miasta i społeczeństwa miejscowego.

Ze w rzędzie potrzeb Łodzi, lub raczej w rzędzie jej braków, których usunięcie mogłoby wydatnie wpłynąć na wzmożenie znaczenia tego miasta, na zmianę jego charakteru i podniesienia poziomu, leży uczelnia wyższa — nad tem można nie dyskutować. Również dla tysiąca powodów poza dyskusją zdaje się leżeć pytanie, że uczelnia ta nie może być uniwersytetem, lecz tylko zupełnie swoistego typu zakładem naukowym o zakresie technicznym i handlowym, przystosowanym głównie do potrzeb włókiennictwa. Natomiast bardzo sprzeczne być mogą zdania co do tego, czy wobec bezspornego braku w Łodzi wszelkich niezbędnych warunków ubocznych tak dla młodzieży akademickiej, jak i dla ciała profesorskiego, zaistnienie zakładu naukowego powinno wyprzedzić wytworzenie warunków, czy też odwrotnie: uprzednie wytworzenie tych warunków winno dopiero umożliwić powołanie do życia uczelni.

Za pewne uważać należy, że w warunkach obecnych wyższy zakład naukowy w Łodzi byłby tylko uczelnią dla łodzian, czyli o niedostatecznym i bardzo jednostronnym kontygencie studentów, że byłby w konsekwencji z konieczności zakładem miernym o bardzo ograniczonym zakresie i środkach — a przedewszystkiem, **że najdalej nawet idącej ofiarności społecznej nie mogłoby wystarczyć na podjęcie i wykończenie zamierzonego dzieła.**

Czyż nie jest więc bardziej wskazanem, o ile apel do ofiarności wogóle wydaje się inicjatorom w tej chwili wskazanym i możliwym, wyczerpać ją nie dla stworzenia dzieła, które z czasem wejść musi w zakres zadań państwowych, lecz raczej dla zaspokojenia jakiejś bardziej palącej potrzeby lokalnej?

Przedewszystkiem jednak należy mierzyć zamierzenia według sił i dopiero po ich konkretnem stwierdzeniu pobierać postanowienia, bo dociąganie sił do zamierzeń może łacno doprowadzić do tego, że utknie się w samym początku i nie wyjdzie się poza wielkie słowa. A to nietylko zaszkodziłoby pięknej idei, którą się powodują inicjatorzy, ale również wywołałoby w nas samych niemiłe uczucie, iż nie potrafiliśmy uczcić według słów odezwy „tak doniosłej w dziejach narodu chwili, jaką jest 10-ta rocznica odzyskania niepodległości".

Tego możemy sobie łatwo oszczędzić, jeżeli powiemy sobie, że uczciliśmy ją godnie każdym dniem pracy, każdą wybudowaną szkołą, każdym najdrobniejszym czynem twórczym, każdą myślą i każdą ofiarą osobistych interesów i przekonań, poniesioną dla dobra państwa.

Wacław Paszkowski.

Listy do „Prawdy"

Toast łodzianina

W związku z poświęceniem kamienia węgielnego pod budowę gmachu Sądu Okręgowego w Łodzi, w dniu 6-ym października r. b. w obecności p. ministra Meysztowicza i p. wiceministra Cara, otrzymujemy następujący list:

Szanowny Panie Redaktorze!

Liczyłem z pewnością, że zostanę zaproszony na przyjęcie na cześć pp. ministrów Meysztowicza i Cara. Niestety, minął mnie ten zaszczyt. Wobec tego jednak, że przygotowałem toast, wyświadczy mi Sz. Pan Redaktor prawdziwą przysługę, drukując go w poczytnem swem piśmie.

Łączę wyrazy szacunku i poważania

Civis Lodzensis.

Wielce Szanowni panowie Ministrowie!

Prawdziwie wzruszony witam Was, panowie Ministrowie Najjaśniejszej Rzeczypospolitej i zapewniam Was, że znajdujecie się w gronie ludzi, którzy żywią dla Was i dla wysokiego urzędu, który piastujecie, najgłębszy szacunek.

Wdzięczni Wam jesteśmy szczerze, żeście odwiedzili nasze miasto, miasto wytężonej pracy i mam nadzieję, iż przekonaliście się, że nie jest ono ani tak nieciekawe, ani tak brzydkie, jak twierdzą nieprzychylne nam głosy.

Przyznać muszę, że w ostatnich czasach wśród członków rządu coraz częściej trafiają się tacy, którzy decydują się odwiedzić nasze miasto. A nawet tacy, którzy tę swoją decyzję w czyn zamieniają. Dawniej kończyło się na obietnicach i zapewne także na dobrych chęciach. Mogło się zdawać, że jakiś przesąd powstrzymuje członków rządu od odwiedzenia największego po stolicy miasta w Reczypospolitej. Ale to się zmienia na lepsze. Widzieliśmy już w naszych murach, i to kilkakrotnie szefa rządu, prof. Bartla, odwiedził nas minister Przemysłu i Handlu p. Kwiatkowski, byli u nas i inni członkowie obecnego rządu.

Unikają Łodzi w dalszym ciągu jeszcze niektórzy ministrowie. Zastanawiając się nad tem, dochodzimy do wniosku, że przyczyną tej abstynencji jest świadomość niesprawiedliwości oczywistych, które miastu naszemu wyrządzali i poniekąd jeszcze wyrządzają. Postaram się pokrótce to udowodnić.

I tak minister Oświaty nie chce i nie może przyjechać do Łodzi, do miasta, które pierwsze w byłym zaborze rosyjskim przeprowadziło w swoich granicach pełny przymus szkolny, ponieważ wiadomem mu jest, że Łódź jest jedynem miastem w Europie, liczącem 600.000 mieszkańców, a nie posiadającem ani jednego wyższego zakładu naukowego. To wielkie miasto ma tylko dwa gimnazja rządowe, t. j. tyle, ile np. Nowy Sącz (ipsissima verba p. ministra D-ra Dobruckiego). Ilość zawodowych szkół rządowych jest śmieszna w porównaniu z innemi miastami Polski. Mamy wprawdzie szkołę handlową, która jest naszą chlubą i której wspaniały gmach wybudowało społeczeństwo nasze, stwarzając ponadto dla niej podstawę egzystencji przez ustanowienie dobrowolnego podatku. Podatek ten jest obecnie pobierany lecz szkoła otrzymuje z tego źródła tylko marne okruchy, wobec czego chyli się ku upadkowi. Dzieje się to mimo wyroku Najwyższego Trybunału, protestu naszej Rady Miejskiej, dezyderatu, wyrażonego przez Senat, próśb zrzeszeń gospodarczych Łodzi, wstawiennictwa Komisji Opinjodawczej przemysłowej. Czyż wobec tego nie stają się zrozumiałe słowa b. ministra Dobruckiego: „Nie mogę pojechać do Łodzi przez szkołę handlową".

Ministrowie skarbu ex re swego stanowiska nie cieszą się nigdzie zbytnią popularnością, ale nasuwa się natrętne pytanie, dlaczego becny minister skarbu, będąc czołowym kandydatem z listy Nr. 1 w Łodzi i Włocławku, uznał za stosowne swoją mowę wyborczą wypowiedzieć tylko w Włocławku.

Minister Kolei Żelaznych także nie bez racji omija Łódź. Przejeżdżaliście panowie ministrowie przez Koluszki i zapewne nie bez wstrętu patrzyliście na ohydne stacyjne budynki na tej stacji, ze zdumieniem oglądaliście tam wiadukt, przypominający najprymitywniejsze rusztowanie i musiało Waw przyjść na myśl niebezpieczeństwo życia, połączone z przejściem tego wiaduktu np. w zimie.

A stacja w Łodzi? Prawda, jest to spuścizna po dawnych czasach, ale przez 10 lat nie zrobiono nic dla węzła, który obsługuje cztery miljony pasażerów i przez który przechodzi dwa miljony ton towarów rocznie. Nie mogę bowiem nazwać inwestycją przygotowawczych prac na Polesiu Widzewskiem, najcenniejszym placu Łodzi. Tereny te należały do miasta. Miasto wyrzekło się ich, gotowe wziąć w zamian obecne kolejowe place węglowe, leżące w śródmieściu. Robót około przeniesienia stacji towarowej na nowe miejsce nie podjęto na serjo, a w tym roku wogóle je wstrzymano z powodu braku kredytów. Miasto straciło bezcenne dla rozwoju ruchu budowlanego tereny, a objektu zamiennego także nie otrzymało. Mieszkańcy śródmieścia nadal łykają pył węglowy i krztuszą się w chmurach żrącego dymu parowozowego.

Lista krzywd, czynionych Łodzi przez Ministerstwo Kolei jest bardzo duża. Wspomnę tutaj tylko o projekcie zmiany trasy biegu pociągów międzynarodowych z pominięciem Łodzi na korzyść... Kutna.

Ale także i ministrowi sprawiedliwości do niedawna nieporęcznie było przyjeżdżać do Łodzi. Sąd Okręgowy, najwyższa tutejsza instancja sprawiedliwości, prawem kaduka zajęła gmach szkolny i niewykluczona była teoretycznie możliwość zaskarżenia sądu przed trybunałem tegoż sądu o eksmisję z gmachu nieprawnie zajętego. Radzi jesteśmy, że przez położenie kamienia węgielnego pod nowy gmach zbliża się koniec tych anormalnych stosunków.

Przyznać trzeba, żeśmy bardzo długo czekali na tę chwilę, ale niestety do puharu radości dolano nam kilka kropel goryczy.

Gmach ten jest pierwszym, jaki wznosi w Łodzi Rząd Rzeczypospolitej. Początkowy kosztorys, sporządzony w tym czasie, kiedy kubiczny metr budowli kosztował 50 złotych, wynosił 5 miljonów złotych. Sejm postanowił wyasygnować zgodnie z propozycją rządową 3 miljony 200 tysięcy złotych. Ministerstwo Robót Publicznych umniejszyło tę sumę do dwuch miljonów w 600 tysięcy złotych. A tymczasem metr kubiczny budowli kosztuje obecnie nie 50 złotych, lecz bez mała osiemdziesiąt. Będzie to więc gmach znacznie mniejszy niż planowano przed laty. Pocieszają nas jednak, że będzie to gmach okazały, odpowiadający wysokiemu majestatowi przeznaczenia swego i że ozdabiać go będzie piękna statua Sprawiedliwości.

Cieszymy się bardzo, że nad miastem naszem czuwać będzie ta figura jako symbol i jako obietnica, że te przykre rzeczy i te niesprawiedliwości, o których wspomniałem należeć będą do przeszłości i że Łódź będzie traktowana według zasad słuszności i sprawiedliwości.

Ażeby oddać sprawiedliwość zasłudze, muszę zaznaczyć, że gmach ten powstaje dzięki staraniom byłego prezesa łódzkiego Sądu Okręgowego, Kamieńskiego. On był inicjatorem i orędownikiem tej sprawy. Po nim plany i projekty tej budowy dostały się w godne ręce obecnego prezesa Bełżyńskiego, który ma prawo święcić dzisiaj triumfy, że dopiął celu, że wytrwale i niezmordowanie krzątając się około urzeczywistnienia tych planów, nad któremi do ostatniego momentu wisiało niebezpieczeństwo nowej zwłoki, doczekał się tej szczęśliwej chwili, iż mógł powitać panów ministrów nad kamieniem węgielnym pierwszego przez Rząd Rzeczypospolitej w Łodzi wznoszonego gmachu publicznego.

Piję przeto zdrowie obu prezesów, prezesa Kamieńskiego i prezesa Bełżyńskiego. Niech żyją obaj wybitni urzędnicy Rzeczypospolitej, którzy po obywatelsku zasłużyli się naszemu miastu!"

Potentaci finansowi, którzy zniknęli

Przez miesiąc blisko zdawało się, że belgijski bankier Loewenstein powiększy grono potentatów finansowych, którzy zniknęli z życia w tajemniczy sposób i po których wszelki ślad zaginął. Znaleziono jednak jego zwłoki i rozpoznano je bez żadnych wątpliwości. Loewenstein nie zniknął, lecz zginął w tajemniczy sposób, który prawdopodobnie nigdy wyjaśniony nie będzie.

Bankierem, który zniknął, był **Józef Small,** kanadyjczyk, który zaczął z pustemi rękami i w ciągu kilkudziesięciu lat dorobił się pokaźnego majątku, oszacowanego w chwili jego zniknięcia na 4 miljony dolarów. W roku 1919 Small zlikwidował wszystkie swoje interesa i przekazał je syndykatowi, który w tym celu się utworzył. Dnia 2 grudnia tego roku Small otrzymał od syndykatu pierwszą ratę swojej należności w kwocie miljona dolarów. Sumę tę zdeponował w jednym z banków w Toronto. Po wyjściu z banku widziano go jeszcze na ulicy, jak kupował gazety. Od tej chwili wszelki ślad po nim zaginął. Po kilku miesiącach policja odnalazła jego sekretarza i zaufanego współpracownika w jednym z prowincjonalnych tartaków, w którym pracował jako zwykły robotnik. Znaleziono przy nim pakiet akcyj, które zniknęły z kasy Smalla. Sekretarza aresztowano i oskarżono go o porwanie człowieka. Oskarżenie to jednak wobec braku jakichkolwiek dowodów musiano cofnąć.

Za odnalezienie Smalla wyznaczona jest nagroda 50 tysięcy dolarów, za wskazanie śladów, które pozwoliłyby odszukać jego zwłoki 15 tysięcy dolarów, a za wskazanie jakiegoś świadka, który mógłby udzielić jakichkolwiek ważniejszych wskazówek 5 tysięcy dolarów. Nagrody te są ciągle jeszcze do wzięcia.

Samobójstwem z niezrozumiałych powodów skończył głośny w swoim czasie król djamentów **Barney Barnatos,** obok Cecila Rhodesa najwybitniejszy spekulant i bogacz południowej Afryki. Ongiś aktor prowincjonalny, przez całe życie zachował maniery liczego komedjanta. Jako właściciel miljardowej fortuny, zachował dawną ekstrawagancję w ubiorze i obejściu. W roku 1897 jadąc z Kapsztadtu do Londynu na okręcie „Scott", skoczył z pokładu w morze i utonął mimo natychmiastowych prób ratunku.

Whitaker Wright dorobił się na spekulacjach w górnictwie amerykańskiem majątku, który oszacowano na 60 miljonów dolarów. W roku 1899 nadszedł krach i przeciw Whitakerowi wytoczono dochodzenia. W czasie tych dochodzeń okazało się, że od trzech lat spekulował on, nie posiadając już żadnego własnego kapitału, gdyż cały swój majątek utracił przedtem. Zachowując jednak pozory właściciela miljonowej fortuny wyzyskiwał zaufanie różnych ludzi i naraził ich na wielkie straty.

Wyrok opiewał na siedem lat ciężkich robót. Po wysłuchaniu wyroku Whitaker padł rażony atakiem sercowym.

ZAGRANICA

List z Bukaresztu

Próba oświetlenia rumuńskiego kryzysu polityeznego

(Specjalna korespondencja „Prawdy")

Bukareszt, 29 września.

Spędziłem dwa tygodnie u naszych sojuszników z południa. Miałem zaszczyt rozmawiać ze wszystkimi wybitniejszymi przywódcami stronnictw rumuńskich. Zebrałem tym sposobem sporo informacyj o charakterze i ewentualnem rozwinięciu się kryzysu politycznego, jaki Rumunja przeżywa.

* * *

Przed wojną, za życia króla Karola I-go, wewnętrzna polityka Rumunji była prosta. Choć konstytucyjnie rządy w Rumunji odpowiedzialne są zarówno przed królem jak i przed parlamentem, ten ostatni czynnik nie grał tu nigdy roli decydującej wobec zwyczaju rozwiązywania Izby poselskiej przy każdej niemal zmianie rządu, oraz przy parodji wyborów dającej z reguły większość świeżo utworzcnemu gabinetowi. Pozostaje więc tylko Korona.

Karol był dobrotliwym autokratą Rumunji. Rezerwował sobie wyłącznie sprawy zagraniczne i częściowo sprawy armji, a rządy powierzał kolejno liberałom i konserwatystom, uważając przytem, aby pierwsi pozostawali u władzy cztery razy dłużej od drugich, albowiem ten stosunek odpowiadał siłom obu stronnictw w kraju. Liberałowie byli o wiele lepiej zorganizowani od konserwatystów, szczególnie kiedy na ich czele — na początku bieżącego stulecia — stanął (po księciu D. Sturdzy) Jan Bratianu. Konserwatyści nie mieli nigdy jednego szefa: na czele starej generacji bojarów stał Filipescu, arystokracji świeższej daty przewodził Marghiloman, a świeżo upieczonym bojarem był zawsze frondujący i lawirujący Take Jonescu.

Obok tych dwu partyj rządzących kolejno Rumunją przedwojenną, różni działacze próbowali tworzyć nowe stronnictwa, ale zawsze byli łamani przez liberałów. Jednych kompromitowano skandalikami, drugich pozyskiwano korzyściami. Pierwszy los spotkał organizatora partji chłopskiej Dobrescu, oraz pierwszego przywódcę ruchu socjalistycznego Jana Nadejdę; drugi — pjoniera rumuńskiego radykalizmu Panu. Działo się to wszystko na początku bieżącego stulecia. W roku 1910, prof. Mikołaj Iorga stworzył partję narodowo-demokratyczną, domagającą się reform społecznych i odnowienia życia publicznego rumuńskiego. I jego liberałowie próbowali pozyskać teką ministerjalną. Hardy Iorga odmówił: „Niema między nami porozumienia — powiedział do Jana Bratianu w roku 1911 — bo ja chcę pańskiego miejsca..." Wówczas liberałowie zastosowali wobec Iorgi metodę izolacji i cichego bojkotu.

Bunty chłopskie z roku 1907, jakie wybuchły na tle agrarnem, podsunęły liberałom myśl odnowienia swego programu. Nastąpiło to jednak dopiero w roku 1913, po wojnie bułgarskiej. Wysunęli wówczas ideę reformy wyborczej i reformy agrarnej.

Tak się zakończył pierwszy okres wewnętrznej polityki niepodległej Rumunji, okres rządów Karola I-go. Okres drugi przypada na rządy Ferdynanda I-go; jest to zarazem okres wojny europejskiej. Wpływy liberałów na dworze wzrosły. Ich orędownikiem wobec królowej był ks. Barbu Sztirbey, którego siostrę pojął za żonę Jan Bratianu. Król Ferdynand, człowiek słaby ale uparty, związawszy się raz z liberałami, nie chciał zmieniać swego stanowiska z obawy, aby go o niezdecydowanie nie posądzono. Pierwszy okres wojny rumuńskiej był niefortunny i korona Ferdynanda była zachwiana. Liberałowie mocno go wówczas podtrzymali, co musiało mieć po wojnie pewne skutki polityczne.

W kwietniu 1917 roku, król Ferdynand wydał manifest obiecujący narodowi powszechne głosowanie i reformę rolną. Obietnice te zostały wykonane w roku 1918 i 1919. Zniesienie trzech kuryj wyborczych i przyznanie prawa równego głosu każdemu Rumunowi stworzyła możliwość powstania wielkiego stronnictwa chłopskiego. Jeszcze w roku 1918, przed końcem wojny, p. Mihalache stworzył partję ludową *(partidul tsaranist)*. Ten b. nauczyciel wiejski, noszący stale baranią czapę i wypuszczoną na wierzch barwnie haftowaną koszulę, nie cieszy się opinją człowieka mającego dane na męża stanu.

W roku 1920 gen. Averescu, dzielny wódz naczelny armji rumuńskiej w czasie wojny, cieszący się ogromną popularnością wśród zdemobilizowanych chłopów, stworzył „partję ludu" *(partidul poporului)*, której właściwym organizatorem był p. Argetoiano, człowiek inteligentny i energiczny (dziś jest liberałem). Brak jednak generałowi Averescu talentu politycznego i dlatego jego dwukrotne rządy (w roku 1921 i w roku 1926) spełzły na niczem. W obydwu zresztą wypadkach gen. Averescu doszedł do władzy dzięki cichej zgodzie liberałów, którzy u Korony nie zakładali swego „veta" przeciw tej ewentualności.

Trzecim nowym czynnikiem powojennej polityki Rumunji byli narodowcy transylwańscy, którym przewodzi p. Juljusz Maniu. Znajdują się oni w opozycji w stosunku do „dyktatury" liberałów. W roku 1926 połączyli się z ludowcami starego Królestwa w jedno stronnictwo narodowo-ludowe *(pirtidul national-tsaranist)*, któremu przewodzi pan Maniu. Wśród Transylwańczyków wybija się jeszcze na czoło p. Vajda Voevod: w roku 1920 stał przez parę miesięcy na czele rządu koalicyjnego i specjalnych zdolności politycznych nie wykazał. Wśród „tsaranistów" z dawnego Królestwa wymienić jeszcze należy pp. Madgearu i Stere; ten ostatni znany jest ze swej wybitnie germanofilskiej polityki w czasie okupacji niemieckiej; wreszcie w Besarabji przywódcą „tsaranistów" jest p. Halippa.

* * *

Nietylko nowe stronnictwa skomplikowały wewnętrzną politykę wielkiej Rumunji. Śmierć króla Ferdynanda (20 lipca 1927) spowodowała przejściowy, ale znaczny upadek prestiżu Korony. Z tą chwilą weszła Rumunja w trzeci okres swej polityki wewnętrznej, okres Regencji, który skończy się dopiero za lat dwanaście, z chwilą dojścia do pełnoletności króla Michała I-go.

Jan Bratianu, najwybitniejsza postać współczesnej Rumunji, popełnił na krótko przed swą śmiercią (24 listopada 1927) dwa „błędy djagnozy": nie przewidział śmierci Ferdynanda, nie wziął pod uwagę własnego zejścia z tego świata. Gdyby wiedział, iż tygodnie Ferdynanda są policzone — nie doprowadziłby do afery księcia Karola, którego ustawa z 4 stycznia 1926 pozbawiła praw do następstwa tronu, przelewając je na jego syna Michała. Pomimo złych stosunków Karola z królową Marją, pomimo jego niechęci do Jana Bratianu, porozumienie było możliwe: leżało ono w interesie obu stron. Dziś sprawy zaszły tak daleko, że Karola uważać należy za człowieka skończonego. Aż do pełnoletności Michała rządzić będzie Wysoka Regencja.

Politycznie najbardziej wyrobionym jej członkiem jest patrjarcha prawosławny Rumunji Miron Christea, stojący bardzo blisko liberałów i z niechęcią się wyrażający o ewentualności dojścia do władzy „national-tsaranistów". P. Buzdugan, prezes Sądu Kasacyjnego, jest mężem powszechnie szanowanym, o nieposzlakowanej przeszłości, ale bez politycznych tendencyj; przyzwyczajony do rozumowania logicznego, nie żywiący do nikogo specjalnych uprzedzeń, przychyla się do idei oddania rządów „tsaranistom" po ustąpieniu liberałów. Trzeci regent, ks. Mikołaj, młodszy brat Karola, jest uważany za wykonawcę rad królowej Marji... Nic dziwnego, że w takich warunkach Regencja nie zdobędzie się na jakiś gest energiczny, który z łatwością wykonałby Karol I-szy, a nawet Ferdynand.

Toczy się walka pomiędzy liberałami a narodowo-ludowymi. Toczy jest już od kilku lat, ale dotychczas — kiedy liberałowie uznali za stosowne przejść do opozycji — spuściznę obejmował po nich... gen. Averescu. I dziś gen. Averescu „szykuje się" do władzy. Tym razem płonne to, zdaje się, nadzieje. Nierealne są również rachuby takich „outsider'ów" jak prof. Iorga lub p. Titulescu. Gabinet księcia Barbu Sztirbey'a — do którego prze królowa Marja — byłby, według słów prof. Iorgi, „prowokacją"... Liberałowie nie mają zamiaru oddać władzę zaraz. Chcą doprowadzić do pomyślnego końca rokowania o pożyczkę stabilizacyjną i ustąpiliby nie wcześniej, jak na wiosnę przyszłego roku. Jedynie niepowodzenie rokowań w sprawie pożyczki mogłoby kryzys przyśpieszyć.

Tak czy owak, nowe przesilenie rządowe otrzyma tym razem logiczne rozwiązanie. Sami liberałowie rozumieją, że niema powodu robić z pana Maniu rumuńskiego Radicza: jest on zresztą od zmarłego wodza chorwackiego o wiele bardziej zrównoważony i politycznie wyrobiony. Po rządach p. Vintili Bratianu będzie zatem miała nasza południowa sojusznica rządy p. Juljusza Maniu, ale zapewne z p. Titulescu, jako ministrem spraw zagranicznych, oraz z księciem Barbu Sztirbey, jako ministrem finansów.

Kazimierz Smogorzewski.

W poszukiwaniu silnych wrażeń...

Na dobrą sprawę, przymiotnik „silnych" należałoby ująć w cudzysłów, zwiedzanie bowiem w Paryżu t. zw. „zakazanych miejsc" nie może już dzisiaj być źródłem „silnych wrażeń". właszcza dla kogoś, kto doskonale zna Poryż z przed 25-ciu lat, kiedy to apasze nie byli jeszcze figurantami groteskowej farsy: *„Paris by night"*, inscenizowanej przez *„Thos. Cook and Co. Ltd."* dla mocnowalutowych gapiów turystycznych. I kiedy starannie unika się tych nocnych knajp, ktore w kosztownych *„secret-gide'ach"* amerykańskich określane są, jako *„dangerous but very interesting"*, co jest ordynarnym bluff'em reklamujących się właścicieli tych pseudo-złodziejskich kabaretów. Więc też nie *autocar'em*, ale per pedes apostolorum, nie z poliglotą-cicerone'm, ale z inspektorem policji, nie za 75 franków, ale dzięki uprzejmości znajomego odbyłem wycieczkę po tym „innym" Paryżu, niepokazywanym nawet w klasycznych *„tournées des grands ducs"*. Pomny dawnych naszych eskapad nocnych z czasów studenckich, zapytałem mojego „anioła-stróża": „Czy mam wziąć rewolwer?". Uśmiechnął się z lekką ironją: „Pan, widzę, jest istotnie starym bardzo paryżaninem, to znaczy człowiekiem nie mającym najmniejszego pojęcia o dzisiejszym Paryżu... Rewolwery? I na cóż one się nam przydadzą? Tam, dokąd pana prowadzę, nie jest zbyt bezpiecznie, na ulicy przeto dosyć kręci się policjantów. W razie zaś jakiejś burdy wewnątrz samej knajpy nie radzę bawić się w bohatera — nogi za pas i kłusem ku wyjściu! O wiele to skuteczniejsze, aniżeli sięganie w tłumie po rewolwer, który panu... wytrącą jednem zręcznem uderzeniem pięścią. Wierzaj mi pan, brauningi też już należą do akcesorjów beadeckerowskich, któremi mnie wprost wstyd byłoby się posługiwać..."

„Zaczniemy od uliczek otaczających plac Bastylji, dobrze?". Zezem spojrzałem na inspektora B. — i ten, znaczy się, nie chce wyjść poza banalny szablon brukowej reporterki: „Drogi panie, mieszkałem w tej dzielnicy przez dwa lata i wiem, że jest ona cnotliwie pracowita i małomieszczańsko spokojna. W jakim celu pędzić na drugi koniec Paryża i spijać złe piwo w dusznej sali ckliwie sentymentalnego *„Bal Musette"?* Przecież pan naczelnik D. zapewniał mnie, że w pańskiem towarzystwie zobaczę faktycznie ciekawe knajpy!". Znów drwiący błysk w oczach: „Ha, skoro *rue Lappe* jest panu tak świetnie znana..." Skapitulowałem bez wahania. „Pierwszy raz słyszę nazwę takiej ulicy". Oczywiście ruszyliśmy z miejsca w stronę Bastylji. Byłem, przyznaję szczerze, mocno zaintrygowany, choć inspektor B. uprzedził mnie lojalnie, że główna „zaleta" kilku tamtejszych dancing'ów (?!) jest ich autentycznie swoisty charakter—„nic sensacyjnego pan nie zobaczy; właściciela *„Cabaret Vert"* pokrajano wprawdzie w zeszłym tygodniu prawie na kawałki, ale to były lokalne porachunki osobiste, a nie napad bandycki".

„Cabaret Vert" — poszliśmy tam, rzecz prosta, nasamprzód — jest długą salą o nagich ścianach, wapnem bielonych, której umeblowanie całe składa się ze stołów i ławek drewnianych, mocno do podłogi przytwierdzonych. Jako broń więc, w razie bójki, użyte być nie mogą... — przezorności takiej dziwić się nie należy! Nawet orkiestra — muzykańci w czerwonych smokingach — mieści się na galerji, zawieszonej pod samym sufitem i komunikującej się z mniej „górnemi strefami" przy pomocy ad hoc przystawionej drabiny. Przy wejściu, sakramentalne karyatydy — posterunkowi. Jest ich aż czterech — to dużo. Tembardziej, że par tańczących kręci się zaledwie kilkadziesiąt. Ale kobiet naliczyłem tylko sześć — reszta bostonujących należy do płci męskiej. Męskiej?... Przemawiają do siebie pieszczotliwie: *„Ma chère, ma petite, etc."*, mają podczernione oczy, wykarminowane usta, noszą bransoletki na rękach i na nogach, choć wielu nie używa kołnierzyków i razi zaniedbanym strojem. Zawodowi i dyletanccy... *Doriany Grey'e!* Dziwna wydała mi się obecność marynarzy wojskowych i żołnierzy w mundurach, którzy cieszyli się znacznem powodzeniem i ciągle byli zapraszani do tańca. Inspektor B. usprawiedliwia znaczną stosunkowo ilość policjantów koniecznością interwenjowania w nader częstych scenach... zazdrości. „Ponieważ zagraniczne snoby nie zdążyły jeszcze zapowietrzyć tej knajpy i wystraszyć z niej autentycznych zboczeńców, więc wydział obyczajowy prefektury posługuje się nią, jako cennym „posterunkiem obserwacyjnym". I ma zupełną słuszność... Niech pan przyjrzy się temu starszemu jegomościowi, wykwintnie ubranemu i emablującemu się czule z młodym *„gigolo"* o misternie zaondulowanych lokach — wcale nie byłbym zdziwiony, gdyby wkrótce zgłosił się on do naszego urzędu z prośbą błagalną o wzięcie go w obronę przed bandą zawodowych szantażystów. Chwilowo zaś, niema żadnej podstawy do interwencji policyjnej — nie dzieje się tu nic takiego, co byłoby sprzeczne z prawodawstwem naszem..."

Uderzył mnie prawie nieprzytomny wyraz oczu jakiegoś młodzieńca — niewątpliwie z dobrej pochodzącego rodziny — który siedział samotnie pod ścianą i raz w raz spoglądał ku drzwiom wejściowym. Zwróciłem na niego uwagę mojemu cicerone. „To jest też rendez-vous ale, może pan mi wierzyć, wcale nie miłosne. Te wszystkie chłopaki są zazwyczaj też i nałogowymi kokainistami od najmłodszych lat, i ten biedak nie może się już doczekać swojego dostawcy „białego proszku". Ci handlarze są doskonałymi psychologami: im dłużej klijent pozostaje w niepewności, tem drożej zapłaci później za każdy gram trucizny... Istnieje u nas wprawdzie specjalna brygada agentów, wyłącznie zajmujących się tropieniem tych dostawców, często będących, nawiasem mówiąc, naszymi konfidentami — walka prowadzona jest bardzo energicznie, ale muszę przyznać, że zbyt kokainy, heroiny i tym podobnych narkotyków powiększa się stale. Bo, widzi pan, wszystkie te choroby mają jeden, wspólny mianownik przyczynowy: pogoń za silnemi wrażeniami. Początkowo — przez głupią ciekawość, potem, niestety — przez śmiertelny nałóg. Jutro, jeśli ten chłopak nie będzie miał dosyć pieniędzy na kupno absolutnie już mu niezbędnej szczypty *„białej tabaki"*, to pójdzie kraść, a, kto wie, czy i nie mordować. Ekspert psychjatra uzna go za niepoczytalnego, gremjum przysięgłych wyda wyrok uniewinniający, a *„Cabaret Vert"* odzyska swojego wiernego klijenta...".

Paryż posiada bardzo dużo knajp w stylu „Cabaret Vert".

(Paryż)

Zygmunt St. Klingsland.

GOSPODARSTWO AMERYKI A MURZYNI.

Jedną z największych korzyści, z jakich korzysta amerykańskie gospodarstwo, korzyścią zazwyczaj nie dość wysoko cenioną, jest jego 10-cio miljonowa ludność murzyńska.

Lojalna ta ludność wydajnie i chętnie pracująca, potomkowie dawnych niewolników, stanowią główną sprężynę wydajności amerykańskiej produkcji. Bez nich bawełna byłaby dzisiaj prawdopodobnie niezrównanie droższa, o ile wogóle możliwem byłoby uprawiać i zebrać tak wielkie ilości; bez nich byłoby bogate południe Unji prawdopodobnie w znacznie mniejszym odsetku eksploatowane; bez nich amerykańska „arystokracja robotnicza", nie osiągnęłaby chyba swego dzisiejszego poziomu, a sytuacja „proletarjatu roboczego", także i teraz nie budząca zazdrości, byłaby gorszą, niż jest, gdyby do wielu najcięższych, najbrudniejszych i najniezdrowszych robót nie używano tam murzynów. Można rzec, że bez czarnej ludności Unja dzisiaj pod wielu względami równałaby się Australji, której mimo najkorzystniejszych warunków dla masowego osiedlenia nie można było skutecznie eksploatować. Jedno jest jednak pewnem, że uprzemysłowienie Stanów Zjednoczonych, którego skutki odczuwa się w każdej dziedzinie życia Unji, byłoby niemożliwem bez murzynów.

Kultura odżywiania i kultura ciała

w świetle racjonalnej harmonji

Nie bez przyczyny przysłowia są mądrością narodów. Lud wiejski, zwłaszcza odczuwa tę mądrość więcej instynktownie i w kilku dosadnych słowach ujmuje ją z matematyczną prawie dokładnością w formy napozór bardzo proste. Do takich swojskich mądrości należy niewątpliwie znane przysłowie: „W zdrowem ciele — zdrowy duch".

Pomimo, że wszyscy to odczuwamy, postępujemy jednak zazwyczaj wręcz przeciwnie. Zdawałoby się, że nic łatwiejszego niema, jak skierować wszelkie nasze wysiłki ku zadośćuczynieniu wyżej przytoczonej sentencji. Czyż nie staramy się odżywiać siebie i naszą rodzinę, w granicach dla nas dostępnych, jaknajlepiej, czy nie dbamy o czystość ciała i higjenę? Naturalnie, robi to każdy po swojemu, zależnie od przyzwyczajeń i warunków. Ale jak i z jakim pożytkiem?

Organizm każdego żyjącego stworzenia, a zatem i człowieka można przyrównać do bardzo skomplikowanego mechanizmu. Codzienne odżywianie i zabiegi higjeniczne należą do rzędu prac świadomych i pod tym względem wszyscy ludzie posiadają pewną właściwą sobie kulturę, natomiast oddychanie, trawienie, sen należą do rządu prac nieświadomych, które jednakże do pewnego stopnia zależne są od nas samych.

Znane powszechnie prawo Lavoisier'a, że nic w naturze nie ginie, t. j. że wszelka energja zachowuje formę, daje się przy należytem ujęciu zastosować w sposób dla nas najkorzystniejszy lub lekkomyślnie skierować na naszą szkodę.

Wyobraźmy sobie, że organizm nasz jest mechanizmem, składającym się z kotła i motoru. Kierownikami tego mechanizmu jesteśmy my sami. Wiadomem jest, że od maszynisty zależy utrzymanie mechanizmu w ruchu i wykonywanie prawidłowej pracy. Zacznijmy więc od palenia w kotle, czyli od odżywiania, które jest niczem innem, jak *spalaniem.* Materjałem palnym dla organizmu ludzkiego są *pokarmy, zawierające tłuszcze i węglowodany,* a więc wszystkie strączkowe, kartofle, chleb, masło, mleko, jarzyny, owoce i mięso, *ale tylko w nieznacznych ilościach.* Według najnowszych wymagań pożywienie nasze winno zawierać: białko, tłuszcz, węglowodany, witaminy, sole mineralne i wodę.

Białko znajduje się w roślinnych i zwierzęcych pokarmach. *Dla jednej osoby w ciągu jednego dnia wystarczy do 100 gramów białka.*

Tłuszcze znajdują się w tkankach tłuszczowych zwierzęcych, w owocach i orzechach. Przeciętnie *człowiek dorosły potrzebuje codzień 50 do 60 gramów tłuszczu.*

Węglowodany znajdują się głównie w roślinach, cukrze, krochmalu, mleku, kartoflach, zbożu i owocach.

Witaminy w roślinach, zielonych jarzynach, owocach, mleku, maśle i tranie.

Sól kuchenna jest raczej szkodliwa, niż pożyteczna, natomiast inne sole mineralne, które organizm znajduje, zresztą w małych tylko ilościach, w jarzynach i owocach — są niezwykle cenne dla organizmu.

Należyte i w proporcjonalnych dawkach spożywanie wyżej wymienionych gatunków pożywienia — jest obecnie tematem studjów specjalnych instytutów doświadczalnych, spro wadzających racjonalne odżywianie organizmu ludzkiego do ilości zapotrzebowanych kaloryj.

Wiadomo, że tak zw. *mała kalorja* stanowi jednostkę ciepła, powodującą podniesienie ciepłoty w jednym gramie wody o jeden stopień Celsjusza.

Takich właśnie kaloryj średnio pracujący mężczyzna zużywa dziennie 2.800, kobieta — 2.400, dziecko w wieku szkolnym — 2.000 i niemowlę — 1.000. Kalorje te wytwarzają się przez spalenie przez organizm spożywanych pokarmów.

Od wartości więc produktów — jak widzimy — zależy wszystko.

A jak wartość ta jest różną, świadczy o tem niżej przytoczony przykład:

Trzy kostki cukru mają wartość odżywczą — stu kaloryj.

Taką samą wartość posiada 16 szparagów, albo pięć główek sałaty, albo 30 gramów powideł lub poziomek.

Zkolei litr mleka posiada wartość odżywczą niespełna trzech kilogramów kalafiorów, bądź 8 parówek, bądź 750 gramów cielęciny, 600 gramów wołowiny, 400 gramów wieprzowiny, bądź 9 jaj kurzych.

Rzecz naturalna, że pożywienie nasze winno być różnolite, tego wymaga koniecznie nasz organizm.

* * *

Rozpatrując dalej poprzednie porównanie nasze organizmu człowieka do mechanizmu, składającego się z kotła i motoru, przychodzimy do przekonania, że maszynista (t. j. my sami), pragnąc utrzymać nieprzerwany, a prawidłowy ruch tego mechanizmu, musi podtrzymywać przedewszystkiem *płomień w palenisku,* ale winien to czynić rozważnie i umiejętnie, ażeby przez forsowne dorzucanie paliwa nie spowodować w kotle zbyt wysokiego ciśnienia skutkiem wytworzenia nadmiernej ilości kaloryj. Przy nieumiejętnej obsłudze *łatwo bowiem jest uszkodzić kocioł, a wtedy cały mechanizm pocznie szwankować.* Naturalnie, że w wypadku niedostatecznego podtrzymania płomienia nie trudno jest wogóle zatrzymać wszelki ruch. Niestety zdarza się najczęściej, że maszynista, kierując się najlepszą chęcią, dobiera obficie paliwo, nie zastanawiając się nad tem, jaką szkodę wyrządza dla funkcji kotła i motoru skutkiem nagromadzenia się nadmiernej energji, albo skutkiem niedostatecznego spalania. Nadmiar tej energji jest najczęściej przyczyną uszkodzenia kotła (żołądka) i odbija się ujemnie na przeciążonym pracą motorze (sercu). Z biegiem czasu musi to nieodzownie odbić się ujemnie na całym mechanizmie.

Trzeba sobie otwarcie powiedzieć, że *najczęściej chorujemy nie z niedojadania, lecz raczej z przejedzenia,* względnie złego przyswajania pokarmów. Racjonalniej jest niedojadać, ponieważ organizm nasz posiada stale pewną rezerwę w postaci tłuszczu, który reguluje pożyteczny często niedobór pokarmów.

Należy w tym wypadku, jeżeli chodzi o prawidłowe odżywianie, przyswoić sobie pewną kulturę, zależną od warunków. Warunki te są naogół bardzo rozmaite i zależne od sposobu pracy, od klimatu, środków i t. d., a przedewszystkiem od zdrowia. Nie można nawet uogólniać norm kaloryj wyżej wspomnianych, potrzebnych dla naszego organizmu. Tak, jak każdy mechanizm daje się poruszać większą lub mniejszą energją, tak samo każdy organizm musi dostosować indywidualnie ilość i jakość potrzebnych dla siebie pokarmów.

Dla doskonale funkcjonującego organizmu norma np. 100 gr. białka i 50 gr. tłuszczu będzie wystarczającą. Dla organizmu słabego, t. j. mniej sprawnego taka sama ilość białka i tłuszczu będzie za małą, ponieważ spalanie u niego odbywa się gorzej i bez należytego pożytku. Często mówi się, że *ktoś posiada duży apetyt, lecz mimo to jest słaby,* ktoś inny zaś, będąc naogół silnym i zdrowym, obdarzony jest apetytem względnie niewielkim. Przyczyną tych różnic jest *jedynie prawidłowe lub nieprawidłowe spalanie pokarmów* przez organizm, t. j. dobry lub zły proces utleniania.

Powszechnie utarło się mniemanie, że np. wyjazd mieszczucha na wieś lub przebywanie dłuższe na wolnem świeżem powietrzu pobudza apetyt. Niewątpliwie tak jest, lecz przyczyna leży *tylko we wzmożonym obiegu krwi,* skutkiem odświeżenia jej znacznie wiekszą ilością tlenu przepuszczonego przez płuca. Idzie zatem wzmożona praca serca, żołądka, myśli, jednem słowem odświeżenie całego organizmu. Nie wolno jednak zapominać, że stan taki jest tylko *wyjątkowy,* chwilowy, *zatem nienormalny.* Stwierdzonym jest bowiem faktem, że człowiek, który normalnie stale dużo przebywa na wolnem powietrzu, poddaje się działaniu promieni słonecznych i utrzymuje całą swoją skórę w doskonałej kulturze (np. sportsmeni) *nie odznacza się t. zw. wielkim apetytem.* Stan ten jest jego normalnym stanem. Dla niego 100 gr. białka i 50 gr. tłuszczu będzie może ilością zadużą bowiem jego prawidłowo funkcjonujący organizm spala pokarmy dokładnie i z większym pożytkiem, gdy dla nie sportsmena, o jednakowej wadze ciała i komplekcji, podobna ilość pokarmu będzie niewystarczającą normą.

Należytą kulturą ciała jest codzienne utrzymanie skóry w czystości, poddawanie jej działaniu powietrza i promieni słonecznych, ażeby jej ułatwić prawidłowe oddychanie, narówni z płucami, t. j. ułatwiać dopływ do organizmu jaknajwiększej ilości tlenu. Osiągamy to przez częste kąpiele rzeczne, lub powietrzne, codzienną gimnastykę na świeżem powietrzu i kąpiele słoneczne.

Należy zatem stwierdzić, że celem utrzymania racjonalnego funkcjonowania organizmu należy przestrzegać *kultury odżywiania i kultury ciała.* Są one wzajemnie sobie potrzebne i nierozłącznie od siebie zależne.

Są to funkcje czysto mechaniczne, które prowadzą w prostej konsekwencji *do kultury ducha i wywierają niesłychanie ważny wpływ na nasze samopoczucie,* zdolności, wykonywanie codziennej pracy, usposobienie, stosunki z bliższem i dalszem otoczeniem i na to wszystko, co nazywamy radością życia.

Mamy zatem całą *harmonijną trójcę,* która wówczas tylko będzie doskonałą, jeśli się trzy te czynniki będą wzajemnie dopełniać.

* * *

Sposób odżywiania się przeciętnego człowieka prowadzi w prostej linji do bilansu ogólnych potrzeb całego narodu. Gdyby całe społeczeństwo składało się z ludzi, zachowujących kulturę odżywiania i dbałych o kulturę ciała, możnaby taką ilością pokarmów, jaką dziś zużywa w nieprawidłowy sposób, np. miljon mieszkańców, wyżywić *półtora miljona ludzi lub więcej,* ze znacznie lepszym pożytkiem. Możemy śmiało stwierdzić, że w tym kierunku istnieje marnotrawstwo środków i pracy i że *z punktu widzenia zarówno ekonomicznego jak społecznego mamy obowiązek z takiem marnotrawstwem walczyć.*

Ideałem ekonomisty zawsze będzie taka minimalna, a jednak w zupełności dostateczna ilość pokarmów, niezbędnych dla jednego mieszkańca, która gwarantowałaby, obok pewności zachowania zdrowia i dzielności narodu, równomierny, jaknajwięcej sprawiedliwy podział ogólnego bogactwa zapasów odżywczych dla miljonów mieszkańców. Ekonomista rozumie bowiem doskonale, że tylko wtedy osiągnąć można największą korzyść kosztem najmniejszych wysiłków i rzecz prosta znakomicie obniżyć ceny artykułów spożywczych.

Inż. Wacław Tymowski.

Djalog ekscentryczny.

O UPADKU KULTURY I O ZDRADZIE INTELIGENCJI

Nie przestąpiliśmy jeszcze progu tej restauracji, słynącej, jako punkt zborny literatów, dziennikarzy i artystów, a już pożałowałem gorzko mego pomysłu. W dusznym i ciasnym lokalu panował zaduch nie do zniesienia, złożony z wyziewów zabójczych sosów i niedomytych ciał ludzkich. — Nad wrzawą pijackich głosów górował jazgot i skowyt barbarzyńskiej muzyki z towarzyszeniem ogłuszających „talerzy" blaszanych i wrzaskliwych trąb. Na domiar, u wejścia skłębiła się grupa rozochoconych „gentlemenów", którzy, zamiast rozstąpić się przed moją towarzyszką, zdradzali niedwuznaczny zamiar zagrodzenia jej drogi, ot tak! z nadmiaru temperamentu.

Syrena obejrzała się na mnie pytającym wzrokiem.

Ująłem ją pod ramię i, torując sobie przejście łokciem, wprowadziłem do renomowanego lokalu.

— Dlaczego wpuszczacie tu takich gości? — rzekłem do starszego kelnera, wskazując głową na zawalidrogów, bełkoczących jakieś groźby i złorzeczenia pod moim adresem.

Pracownik gastronomiczny nachylił mi się konfidencjonalnie do ucha:

— Ci panowie pili tu od południa. Niech szanowny pan nie zwraca na nich uwagi....

Dalszą rozmowę zagłuszyła orkiestra jakimś wyjątkowo już wrzaskliwym akordem, po którym rozległy się huczne brawa publiczności.

— Widzi pani — rzekłem — dawniej zbierała się tu elita towarzyska i artystyczna. Dyskretna muzyczka nie głuszyła rozmów; goście nie obżerali się, tylko jedli, nie upijali się, chociaż pili. Teraz inaczej. Nowe czasy, nowi ludzie. Im aby tylko głośniej, aby więcej, aby tłumniej.

Syrena była wyjątkowo pogodnie usposobiona.

— Niech pan przestanie gderać — przerwała — i zamówi coś dobrego. Strasznie jestem głodna.

* * *

Wkrótce jednak i ona miała już dość tej modnej restauracji z jej zaduchem, zgiełkiem i wątpliwemi sosami.

Wyszliśmy na ulicę. Ktoś mi nadepnął na odcisk i poszedł dalej, nie zauważywszy nawet mojego gniewnego syknięcia. Ktoś potrącił moją towarzyszkę, ktoś inny rozepchnął nas, ktoś trzeci zagrodził nam drogę plecami. Na zwróconą przezemnie uwagę, spojrzał zdziwiony i odburknął coś pod nosem.

— Jeśli tak dalej pójdzie — rzekłem zirytowany — to ludzie znów zaczną chodzić na czworakach i wydawać nieartykułowane dźwięki. Niech pani patrzy, co za dzicz wyległa na ulice. Ani to nie umie chodzić, ani obrócić się, ani przeprosić. Syrena roześmiała się dźwięcznie.

— Wie pan, byłam dziś rano świadkiem zabawnej sceny. Jakiś osobnik, zagapiwszy się, potrącił przechodzącą damę, młodą i wytwornie ubraną. A że był widocznie bardzo gruboskórny, więc nawet tego nie zauważył. Dama, odszedłszy kilka kroków, odwróciła się i rzuciła w jego kierunku kilka dość ostrych słów. Gruboskórny jegogomość teraz dopiero zauważył, że ta ładna pani obejrzała się za nim. I niech pan sobie wyobrazi. — Syrena parsknęła śmiechem — pobiegł za nią, myśląc, że ona na niego „leci". Co tam było dalej — nie wiem, ale uśmiałam się serdecznie. Oho! Nadjeżdża mój tramwaj! Siadajmy!

Łatwiej to było powiedzieć, niż zrobić. Kilka rozpędzonych taksówek, trąbiąc przeraźliwie, odgrodziło nas od tramwaju; tuż za nimi grzmiał wielki furgon, a potem jeszcze kilka samochodów. Zanim się to skończyło, tramwaj ruszył.

— Panie konduktorze, proszę zaczekać! — wołała jakaś otyła starsza pani. Ale pracownik tramwajowy nawet nie raczył spojrzeć w jej kierunku.

* * *

— Niech pan spocznie i przejrzy gazety — rzekła Syrena, znikając za kotarą — za chwilę powrócę. Wziąłem ze stosu gazet popularny dziennik poranny i natychmiast rzucił mi się w oczy jaskrawo i ordynarnie wykonany rysunek z plugawym wierszem na temat procesu marjawitów w Płocku. Rysunek wyobrażał rozwalonego na sofie otyłego mężczyznę z nagim, wzdętym brzuchem i wywalonym jęzorem. U wezgłowia stały dwie zakonnice i wachlowały tego dygnitarza, a u nóg dwie inne kadziły mu wonnościami. W głębi widać było zespół tańczących, kuso ubranych „girlsów".

Odrzuciłem gazetę ze wstrętem. W ciągu mojej 20-letniej pracy publicystycznej dużo zdarzyło mi się widzieć rzeczy brzydkich w prasie krajowej i zagranicznej, ale podobnie plugawego „żartu" nie pamiętam.

— Jeśli upadek naszej prasy codziennej pójdzie dalej w takiem tempie — rzekłem do Syreny, która zdążyła tymczasem przywdziać szlafroczek lila — to niedługo zrówna się ona z malarstwem skatologicznem na parkanach i z anonimową literaturą szaletów. — Hasło prasy brukowej:

— Dogłupiajmy się do poziomu ulicy! zostało zbyt gorliwie w czyn wprowadzone. Akcja „dogłupiania się" poszła zadaleko. To też poziom pewnej części prasy spadł poniżej poziomu wody w rynsztokach. Syrena zebrała gazety i rzuciła je w kąt.

— Jeśli nie smakuje panu ta strawa duchowa maluczkich — rzekła sarkastycznie— to jej pan nie tykaj, ale poco obrzydzać innym te specjały? Żyjemy w czasach demokratycznych, mój panie! Oświata powszechna zrobiła swoje: teraz każdy chce czytać...

Zerwałem się dotknięty do żywego.

— Droga pani, analfabetyzm nie był jeszcze najgorszem złem. Zła i destrukcyjna lektura jest gorsza od żadnej. Jeśli w latach niewoli, setki cichych bohaterów i ofiarnych a niestrudzonych „społeczniczek" narażały się na więzienie i „ssyłkę", ucząc ubogą dziatwę czytać i pisać w tajnych szkołach — to dzisiejsza prasa brukowa jest najkrwawszą zniewagą, jaką ironja losu depcze pamięć tych apostołów. — Niejeden z nich przekreśliłby pracę swego życia, gdyby mógł przewidzieć, że lud, wydarty mrokom ciemnoty, będzie karmiony takim szalejem! takiemi bakterjami zgnilizny! Zupełny analfabeta może mieć zdrowy i uczciwy sąd o rzeczach; półinteligent, wychowany na prasie brukowej, staje się czynnikiem destrukcji i depratwacji...

Syrena położyła mi palec na ustach.

— Ciszej! Jeszcze kto usłyszy... a potem powiedzą, że pan jest wrogiem postępu i demokracji...

* * *

Właśnie niosłem do ust filiżankę aromatycznej herbaty, gdy nagle wzrok mój padł na obraz olejny, którego wczoraj jeszcze nie było.

rając je z prawdziwem i wielkiem umiłowaniem.

Ludzie ci, ci nowocześni wielcy panowie, wielcy w pełnem tego słowa znaczeniu, nie znaleźli tylko dotychczas odpowiednio wielkich artystów. Dlaczego tak jest? Na to pytanie odpowiedź nie jest łatwa. Portret Rathenaua wskazuje, że artyści tacy znaleźć się mogą. Zdaje się, że duża część winy spada tu na przemysłowców samych. W swoich artystycznych upodobaniach są to z reguły konserwatyści, którzy nie rozumieją nowych prądów i nie uznają ich. A wreszcie jest także i despotyzm. Wszystkie ich rozkazy wypełniane są tak, jak oddawna nie wypełnia się już rozkazów panujących. Rządzą w swoich koncernach tak, jak żaden panujący nie rządzi w swoim kraju. Rozkazują więc i artyście: „Ma mnie pan namalować tak jak w rzeczywistości wyglądam!" albo: „Ma pan zrobić mój portret, ale ściśle podług moich wskazówek!"

Dzięki temu albo dobierają sobie artystów, których talent i sposób pracy najlepiej odpowiada ich niewyrobionym upodobaniom, albo zmuszają wielkiego artystę, aby pracował tak, jak oni chcą.

Ludzie ci uznają już sztukę i mają dla niej wiele zrozumienia — nie uznają jednak jeszcze artystów, nie mają zrozumienia dla genjusza i talentu artystycznego. I to jest poniekąd tragedją naszej epoki. Sztuka kwitła zawsze tylko tam, gdzie byli wielcy i możni tego świata. Dzisiaj naprawdę wielkimi i możnymi są tylko potentaci przemysłu i finansów — tylko oni sprawują prawdziwą władzę nad miljonami ludzi, tylko ich wola jest bezwzględnie wykonywana — — oni tylko mogą być wyrazem dzisiejszej epoki, a przez to oni tylko i ich działalność może być źródłem natchnienia i twórczości artystycznej, jeśli ta twórczość ma być związana z epoką i posiadać nieprzemijającą wartość. Tylko, że na dworach tych ludzi dotychczas niema miejsca dla artysty...

O. M.

Książki.

PRZYPOMNIENIA I UWAGI.

Antoni Anusz: **„Z powodu oświadczenia Marszałka Piłsudskiego z dnia 1-go lipca 1928 roku".** — Przypomnienia i uwagi. Warszawa 1928—Nakładem księgarni Hoesicka.

Ostre i gorzkie uwagi Marszałka Piłsudskiego o naszych stosunkach parlamentarnych, zawarte w głośnem jego oświadczeniu lipcowem, skłoniły p. Anusza do skreślenia swoich wspomnień z okresu pierwszego Sejmu. W Sejmie tym p. Anusz był posłem i przewodniczącym komisji wojskowej. Mieliśmy wówczas wojnę z Rosją bolszewicką. Naczelnym Wodzem armji polskiej był Naczelnik Państwa, Marszałek Piłsudski. Poseł Anusz opowiada jaki to był stosunek komisji wojskowej suwerennego Sejmu konstytucyjnego do Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza armji, walczącej z olbrzymią przewagą wroga. Opowiada, jak to ten Sejm suwerenny „pilnie" starał się o wzmocnienie autorytetu wodza siły zbrojnej i o pogłębienie zaufania do niego, w którego rękach znajdowały się przecież losy Państwa. I jeszcze o wielu innych rzeczach z tego czasu opowiada p. Anusz i opowiada tak, że czytelnik chwilami pięści zaciska i zębami zgrzyta...

ZAGADNIENIE SPOŁECZNE W KONSTYTUCJI POLSKIEJ.

Gustaw Simon, Prezes Polskiego Towarzystwa Polityki Społecznej: — **„Zagadnienie Społeczne w Konstytucji Polskiej".** — Wydawnictwo Polskiego Towarzystwa Polityki Społecznej Nr. 7. Warszawa 1928 r. Skład główny w księgarni F. Hoesicka. Str. 29.

Oto, co autor pisze o konstytucji marcowej: „Nie powstała ona z jednolitej, zwartej woli grupy zorganizowanych patrjotów, jak Konstytucja 3 Maja, nie zrodził jej potężny entuzjazm wyraźnej większości narodu, nie została narzucona aktem woli jednostki, skupiającej w swem ręku pełnię władzy, nie stworzyła jej nawet normalna, stała większość parlamentarna, programowo głębiej ze sobą związana. Nosi ona na sobie piętno niezatarte szczególnych okoliczności, w jakich powstała, okoliczności mało sprzyjających należytemu wyczuciu potrzeb przyszłości i nakreśleniu wyraźnych, niezłomnych, żywiołowych form dalszego rozwoju Państwa i narodu...

Autor dochodzi do wniosku i motywuje go, że konstytucja marcowa także i cały splot zagadnień społecznych, całokształt kwestji społecznej, traktuje powierzchownie i ogólnikowo.

CZESKOSŁOWACKIE I POLSKIE WOJSKO W ROSJI.

Józef Kudela: **„Czeskosłowackie i Polskie wojsko w Rosji".** Odbitka z „Przeglądu Słowiańskiego", Praga — 1927. Przekład J. S. Warszawa, Nakładem księgarni F. Hoesicka. Str. 46.

W roku 1927 ukazała się w wychodzącym w Pradze Czeskiej „Przeglądzie Słowiańskim" serja artykułów, poświęconych szczegółom, dotyczącym formowania na terenie Rosji oddziałów wojskowych czeskich i polskich. Artykuły te ukazały się dzięki... Sieroszewskiemu. Mianowicie Sieroszewski w jednej z ostatnich swoich powieści, w powieści „Dalaj Lama", umieścił ustęp z opisem tragedji oddziałów polskich na Syberji w roku 1919. Ustęp ten zawiera ciężkie zarzuty i oskarżenia pod adresem Czechów, którzy — ratując siebie — pozostawili oddziały polskie w beznadziejnej sytuacji, na łaskę i niełaskę bolszewików.

Kudela, jeden z uczestników kampanji syberyjskiej legjonów czeskich w Rosji, powołując się na znane i opublikowane już źródła, kreśli historję oddziałów polskich i czeskich na terenie Rosji, marsz legjonów czeskich z Ukrainy na Syberję, gdzie rządził Kołczak i wypadki na Syberji. Autor nie szczędzi ostrych słów krytyki pod adresem tych, którzy formowali na Syberji oddziały wojskowe polskie i na nich zwala odpowiedzialność za to, co się tam stało.

Broszura jest niezmiernie interesująco napisana i stanowi bardzo cenny — chociaż może zbyt jednostronny — przyczynek do historji wojska polskiego w czasie wojny światowej.

SZWECJA.

Gustaw Asbrink — **„Szwecja"** — Kraj. ludzie, historja, Szwecja dzisiejsza, podróże przez Szwecję. Przedmowa Zdzisława Dębickiego. Warszawa 1928. Nakładem księgarni F. Hoesicka, str. 166. Kilkadziesiąt fotografij i rycin oraz mapy.

Jest to najbardziej szczegółowy i wszechstronny przewodnik, a zarazem informator o Szwecji współczesnej, jednakowo cenny dla turysty, jak i dla kupca, czy przemysłowca, interesującego się Szwecją.

Kilkadziesiąt doskonałych fotografij i mapy orjentacyjne uzupełniają treść tej książki.

Teatry łódzkie

TEATR MIEJSKI.

„Pieniądz leży na ulicy"
komedja *R. Oesterreichera i R. Bernauera.*

Dla okraszenia repertuaru uśmiechem Dyrekcja sięgnęła do Wiednia, z którym jednocześnie wystawiła najnowszy płód wyobraźni i humoru tych samych dwuch Rudolfów, których rozzuchwaliło niezasłużone powodzenie „Rajskiego Ogrodu". Podział pracy między obu imiennikami polegać musiał tym razem na tem, że jeden dawał wątłe i niekonieczne nowe pomysły, a drugi wyciągał je za włosy. Tą metodą pracy doszli do stworzenia pewnej ilości scen, równie niedorzecznych, jak niedopuszczalnie sztucznych. Gdyby przynajmniej prawdziwy humor, lub prawdziwy dowcip usprawiedliwiał postawienie wszelkiego sensu na głowie — ale i to nie, bo nawet śmiać się niema z czego.

Trudno orzec, czy ta lichota może być dobrze zagrana. Co aktorzy mają począć z temi papierowemi postaciami, albo konwencjonalnemi do znudzenia, albo całkiem bezkrwistemi w swej wymuszonej oryginalności? Główny bohater ma prawdopodobnie być według intencji autorów „charmeur'em" i łobuzem o nieprzepartym uroku. Ten urok właśnie stanowi jedyną podwalinę sztuki i jedyne jakie takie usprawiedliwienie splotu jej dziwacznych powikłań. Przyznać trzeba, że aktor musi w odtworzenie tej postaci włożyć o wiele więcej inwencji, aniżeli włożyli autorowie w jej narysowanie, jeżeli widz ma uwierzyć w jej życiowość. P. Melina, mimo widomego wysiłku, nie zdołał nas jednak o niej przekonać. Nie roztaczał koło siebie uroku, w czem mu między innemi przeszkodziło niedostateczne pamięciowe opanowanie roli. P. Lubieńska nie zna prawdopodobnie banalnego zresztą typu rozwydrzonej panienki berlińskiej. Czy — gdyby go znała — potrafiłaby go odtworzyć przy zupełnie dla innych rzeczy predestynowanym talencie swoim — to inne pytanie. W każdym razie widocznem było zupełnie, że w roli swej czuje się, jak w bardzo niewygodnym gorsecie, krępującym każdy jej ruch, każdą pozę, każdy uśmiech, co w sumie złożyło się na kreację wielce nienaturalną. Jedynie dobry był tym razem p. Krzemieński w roli kabotyńskiego tenora, któremu potrafił nadać kilka cech o szczerym komizmie. Pozostali artyści oddali wiernie to, co od autorów otrzymali: papier.

emb.

TEATRY WARSZAWSKIE

(„Qui pro Quo": „Czy Anna jest panna?", rewja).

Zapowiadana oddawna rewja, otwierająca właściwy sezon w Qui pro Quo, naogół spełniła pokładane w niej nadzieje. Jak przystało na widowisko reprezentacyjne, wystąpił w niem cały dosyć obecnie liczny zespół teatrzyku w komplecie (z wyjątkiem Kalinówny), dając w ten sposób przegląd sił aktorskich. Zespół ten prezentuje się naprawdę pierwszorzędnie, jedna tylko p. Górska przedstawia jeszcze zbyt surowy materjał. Z wybitniejszych zmian personalnych zasługuje na uwagę wstąpienie Zimińskiej i pozyskanie Konrada Toma.

W obecnej rewji na pierwszy plan wybija się, jak zwykle, trójka Jarosy—Ordonka—Krukowski, stanowiąca główną „bazę operacyjną" spektaklu. Jarosy ogranicza się do conferencierki, natomiast Ordonka wszechstronny swój talent oddaje szczodrobliwie zarówno na usługi operetkowego skeczu („Józef i Putyfara" — wespół z Tomem), jak poważnej piosenki, w której jest mistrzynią: przepiękna jest jej „Lunatyczka", a zwłaszcza „Siemieczki", gdzie artystka świetnie stylizuje ruchy zziębniętej dziewczynki ulicznej w Bolszewji. Krukowski śpiewa dwa nowe arcydzieła żydowskie w mundurze.... ułańskim (Mój dowódca") i w cywilu, t. j. w zwykłym swym dziurawym meloniku („To jest moje życie"), oprócz tego zaś snuje przezabawną w swej „melancholji" „Elegję jesienną" wespół z Lawińskim, raczącym ponadto widownię komiczną „Sałatką jesienną". Dymsza wraz z prześliczną Nobisówną daje charakterystyczny obrazek z pod mostu Poniatowskiego („Ratowanie tonących") z pointą, wymierzoną przeciw Kasie Chorych, sam zaś daje kapitalną parodję tańca baletowego. Nie obraziły się nań za to chyba przemiłe „Tacjanki", coraz lepiej tańczące i będące prawdziwą ozdobą teatrzyku. Żywioł polityczny reprezentuje świetnie pomyślana „Rada Ministrów", która polega na tem, że... — ale nie będę osłabiał wrażenia tych, którzy zupełnie słusznie wybiorą się z Łodzi do Warszawy, by zobaczyć całą tę bardzo udaną rewję.

L. W.

---

kańca w jednym z dwuch kształtów: albo obłęd przychodzi jako finał dramatycznego przeżycia, jako wynik gwałtownego wstrząsu, albo też zjawia się jako stan niezmienny, przyrodzony, służący za refleks dla czynów i myśli innych bohaterów. W pierwszym i drugim wypadku istnieje jeden tylko łącznik pomiędzy obłąkanym a czytelnikiem lub widzem teatralnym: mniej lub więcej głębokie współczucie. P. Grabiński szuka w swej sztuce innej reakcji. Nie żąda od czytelnika w s p ó ł c z u c i a dla swych obłąkańców, ale — jaknajwyższego zainteresowania się ich ideologją i ich „niesamowitemi" czynami. Nauka wykazała, że chorobliwe odchylenia od normalnej psychologji dadzą się sprowadzić w osobowości ludzkiej do nieznacznej ilości typów. Jeżeli istnieje w nich wielka rozmaitość, to wynika ona raczej z r ó ż n i c y s t o p n i a, nie zaś z odmiennej istoty rzeczy. P. Grabiński realistyczne swe opowieści o obłąkańcach traktuje pozornie jak najsumienniejszy obserwator. Tymczasem po przeczytaniu kilku nowel, widzimy, że buduje zawsze psychozy dowolne, według własnego pomysłu. Znakomita większość opowieści Grabińskiego ma formę noweli. Wynika to z charakteru samego materjału twórczego: autor wydobywa na jaśnię jedną osobliwość po drugiej, różne momenty psychopatologiczne, które doprowadza w swej fantazji do maximum rozwoju i następstw. Wszystko, co się dzieje w takiem krótkiem, zwartem opowiadaniu poza bohaterem głównym, służy jedynie jako środek, uwypuklenia jego myśli i czynów. W ten sposób klinika patologiczna p. Grabińskiego posiada wielką rozmaitość wypadków, pomimo, że autor usiłuje gromadzić niektóre z poszczególnych objawów w serje i „oddziały" pokrewieństw. Zresztą czuje się p. Grabiński znacznie swobodniej poza wszelkimi oddziałami i serjami. Świadectwem tego *„Niesamowite opowieści"*, gdzie wyobraźnia jego buja śród potwornych, koszmarnych widziadeł. Wstrząsające wrażenie wywiera *„Willa nad morzem"*, gdzie występują „ciemne siły" pozagrobowe, przez które nieboszczyk, drogą myślowej telepatji, pomaga do zdemaskowania zbrodniarza i ukarania go śmiercią samobójczą. Pełnię talentu wykazał p. Grabiński w *„Salamandrze"*, w której pod wyraźnym wpływem *Huysmansa*, wprowadza nas w świat wiedzy tajemnej i czarnej magji. Książka ma świetną konstrukcję, jasność stylu i zwartość opowiadania. Stoi pod każdym względem znacznie wyżej od *„Il regno doloroso"* Przybyszewskiego, bo jest dyskretniejsza w malowaniu satanistycznych szczegółów i, pomimo zużytego tematu, barwniejsza i subtelniejsza. P. Grabiński zaczyna już odsuwać się od swych opętańców i manjaków. Ostatnia jego powieść (*„Klasztor i morze"*) jest pełną prostoty tragiczną idyllą miłosną.

Istotę spraw ludzkich p o t a m t e j s t r o n i e (tj. w dziedzinie tajemniczych sił, które kierują poszczególnymi momentami żywotów ludzkich) usiłuje dojrzeć także w swych utworach p. Wacław Filochowski. Już w *„Chińskich cieniach"* zdarzyły się opowiadania w stylu Grabińskiego, jak np. skombinowana historja medjum telepatycznego, które się komunikuje z oddalenia, w sprawach politycznych, z osobami zainteresowanymi. Ale w tajemne i nadzwyczajne wyniki działania nieznanych mocy, tkwiących w naturze człowieka, wciąga nas p. Filochowski całkowicie w swym *„Człowieku w ciemnych okularach"*. Pogmatwana cokolwiek konstrukcja baśni osłabia wrażenie całości. Akcja ma dwa równoległe kierunki, splątane przypadkowością wydarzeń: z jednej strony dzieje doktora Buczka, z drugiej — niesamowita historja Andrzeja Jeżewskiego. W życiu jednego i drugiego rozsiadły się nieuchwytne dla ich woli siły, które zamieniają ich w manjaków i prowadzą do śmierci. Wspólnym motywem obu dramatów — mówi autor — „okazała się nadludzka, aż do granic karykatury posunięta wiara w swoje zamiłowanie". Tak samo jak u p. Grabińskiego spotykamy u p. Filochowskiego teorje manjactwa. Dla doktora Buczka manjak jest to *„człowiek wytrwale, chorobliwie coś kochający lub wybujałą nienawiścią wciąż trawiony — człowiek z niewzruszoną wiarą, przywiązaniem lub bólem, człowiek, którego świat przeżyć, zamiłowań, interesów ma jedyną, zawsze tą samą oś"*. Doktór Buczek, który coraz mniej znajduje amatorów do leczenia u niego, umiera sam po wypiciu szklanki czystej wody. Tajemnicza siła zniszczenia, która działała we wszystkich jego lekarstwach, nie oszczędziła nawet samego doktora. Cała koncepcja pseudo-trucicielstwa doktora Buczka jest pomysłem sztucznym, nieco wymuszonym. Niemniej zaprawione literaturą jest maniactwo Andrzeja Jeżewskiego, który znalazł na strychu szkatułkę z manuskryptem pamiętnikowym nieznanego Joachima Koryzmy, zabrał się do czytania tych dziwnych kartek i — uległ przedziwnej sugestji. Rzekomy nieboszczyk Koryzma przybywa do niego często, jako zjawa medjumiczna i prowadzi z nim rozmowy, z których Jeżewski dochodzi do wniosku, że Koryzma zostawił bezcenne prace, ukryte w niewiadomem miejscu. Jeżewski jeździ po całej Europie, Azji i Ameryce, szukając przez czterdzieści lat owych prac tajemniczych dopóty, dopóki nie zjawia się u niego istotny autor pamiętników, który prosi o ich zwrot. Katastrofa tak szczególna kończy się śmiercią Jeżewskiego.

Pierwiastek tajemnicy, „sił nieczystych", wydarzeń, niedających się wyjaśnić za pomocą logiki ludzkiej pociąda także p. Stycz-Naglerową w jej zbiorze opowieści p. t. *„Czarny Pies"*. Nauczycielem *„dreszczu"* jest tu naturalnie arcymistrz gatunku, *Edgar Poe*. Ale p. Stycz-Naglerowa ma fantazję dość bogatą, talent szczery, poczucie plastyki niemałe i szczerą troskę o estetyczną całość. Ujawniło się to zwłaszcza w opowiadaniach *„Przedranie"* i *„Tępiciel ruchu"*.

W dziedzinie nieznanego czuje się zawsze dobrze Antoni Lange, jeden z najkunsztowniejszych naszych poetów. W swej fantastycznej powieści *„Miranda"* opowiada dziwy o cudownej wyspie, *Rakaszimie*, gdzie wracający do kraju zesłaniec syberyjski znalazł ludzi żyjących „od nieskończonych lat" i nie umierających nigdy. Potem zesłaniec dostał się do *„Grodu Słońca"*, którego organizację poeta łączy z tajemnicami medjumizmu i „dematerjalizacji" ciała ludzkiego. Lange zamarzył o *„społeczeństwie astralów"*, t. j. istot, wydobytych z ludzi za pomocą cudownego środka *„Nirwidjum"*. Poeta z wielkim zasobem erudycji wschodniej buduje sobie nieszkodliwą wizję tego „astralnego" życia w nieznanym grodzie. Cuda, jakie opowiada, świadczą o świeżości jego fantazji i niezmożonej potrzebie wyrafinowanej zabawy literackiej.

Jan Lorentowicz

BIEŻĄCE ZAGADNIENIA GOSPODARCZE i KRONIKA

Gospodarcze podstawy rozbudowy i budownictwa komunalnego

Polityka mieszkaniowa miast nie może być jednostronnie prowadzona, bez uwzględnienia szeregu innych, również doniosłych potrzeb miasta i ludności. W szczególności polityka terenowa musi się liczyć z przyszłym rozrostem miast, potrzebami opieki społecznej, zdrowotności, ruchu sportowego, turystyki, rozbudowy komunikacji (lotnisk) i t. d.

Tworzenie zapasu ziemi na różnorodne cele komunalne jest jedną z zasadniczych podstaw racjonalnej polityki komunalnej, nadto ze stanowiska gospodarczego nie grozi tu ryzyko wobec wzrostu renty gruntowej, tembardziej, że po wojnie ceny na ziemię nie osiągnęły dotąd poziomu przedwojennego. Ustawodawstwo szeregu państw europejskich przewiduje daleko idące ułatwienia wywłaszczeniowe dla miast w uznaniu całej wagi dostatecznego zapasu ziemi dla polityki komunalnej. Jedynie ściśle ekonomiczny punkt widzenia mający na oku całokształt rozwoju społecznego i gospodarczego może ustalić każdorazową kolejność potrzeb, ich wzajemne ustosunkowanie ze stanowiska polityki terenowej. Słusznie stwierdza dr. Brunner, iż projekty techników oddaliły się od celów polityki gospodarczej, której miały służyć — polityka zostawiła technice zbyt dowolny zakres, zamiast posługiwać się nią, jako narzędziem". (Dr. Brunner: „Baupolitik als Wissenschaft". Wiedeń 1925). Nie idąc jednak tak daleko, należy stwierdzić, iż racjonalna rozbudowa miast, polityka terenowa i budownictwo mieszkaniowe mają poza wysokiem znaczeniem technicznem, przedewszystkiem charakter gospodarczy, który musi być we wszystkich poczynaniach komunalnych szczególnie silnie podkreślony, gdyż to wprowadza w akcję dotychczas niejednokrotnie rozbieżną i jednostronną najwyższą celowość i planowość.

Sprawa rozszerzenia miast nie dotyczy zresztą jedynie poszczególnych związków komunalnych, przeciwnie zwłaszcza, jeśli chodzi o większe miasta i centra przemysłowe, racjonalna rozbudowa winna uwzględnić większe okręgi gospodarcze, na drodze porozumienia szeregu zainteresowanych sąsiednich związków komunalnych (osadnicze związki celowe itd.). Nadto czynnik komunalny musi często wejść w ścisły kontakt z czynnikiem gospodarczym i komunikacyjnym (zarząd kolei), by uwzględnić w planach rozszerzenia miast wszystkie wchodzące w rachubę postulaty gospodarcze i techniczne. Na tych podstawach zorganizowano w Niemczech związek osadniczy Zagłębia Ruhry, który traktuje sprawy rozbudowy i rozszerzenia związków komunalnych jednolicie dla całego okręgu bez względu na granice administracyjne poszczególnych związków komunalnych. Nowe ustawy regulacyj i rozbudowy miast w szeregu państw zachodnich uwzględniają konieczność międzykomunalnych porozumień, ułatwiając na drodze związków celowych osiągnięcie zamierzeń, które wymagają wspólnego traktowania. — W Anglji działają specjalne „Joint Commitees", które opracowują plany osiedli zbiorowych, nadto poszczególne związki komunalne łączą się wzajemnie dla celów regulacji miast i osadnictwa. (Manchestercomitte, obejmujący 73 gmin). Inna organizacja „London Society" opracowuje generalne plany dla Londynu i okolicy. Wreszcie w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki fundacja „Russel Sage" opracowała generalny plan regulacji osadnictwa dla New Yorku i graniczących stanów. Ludność tego terenu liczy obecnie 9 milj. mieszkańców, plany rozbudowy i regulacji liczą się jednak z przyszłym przyrostem ludności, aż do 16,5 milj. w roku 1950 i 37 milj. w roku 2.000.

W szczególności musi być z punktu gospodarczego traktowana sprawa regulacji. Regulacja pojęta nietylko w technicznem słowa rozumieniu obejmuje warunki rozwoju miasta w bliższej i dalszej przyszłości. Tereny, ich zabudowa oraz połączenie środkami komunikacyjnemi, wreszcie polityka przestrzeni wolnych ze względu na czynniki zdrowotne, rozmieszczenie urządzeń miejskich, gmachów monumentalnych, zakładów użyteczności publicznej, wszystko to musi być traktowane ze stanowiska obecnych i przyszłych konjunktur oraz możliwości rozwoju i wyzyskania zarówno przyrodniczych, jak i ekonomicznych warunków.

Przed sporządzeniem właściwego planu regulacyjnego należy zbadać dokładnie podstawy ekonomiczne, ruch ludności, zwłaszcza pod względem zawodowym, dotychczasowy rozwój przemysłu i handlu. Dla regulacji miast mają znaczenie przedewszystkiem drogi wodne, wyzyskanie rzek istniejących, urządzenie nad uregulowanemi rzekami portów i kanałów. W zakresie dróg i ulic miejskich, oraz placów i skwerów, plan regulacyjny winien uwzględnić przyszły rozwój miasta, wzrost ludności oraz rozbudowę przemysłu i handlu. Wchodzą tu w rachubę ulice handlowe, główne arterje komunikacji pieszej i automobilowej, ulice reprezentacyjne, dalej części miasta mniej ruchliwe, zamieszkałe przez ludność zamożniejszą, ośrodki robotnicze, fabryczne i t. d.

Plan regulacyjny rozróżnia główne rodzaje dróg i ulic, których sieć musi uwzględnić teraźniejsze i przyszłe potrzeby miasta i ludności. Jest to jeden z najbardziej trudnych punktów polityki regulacyjnej miast. Nawet najbardziej przewidujący urbanista nie może objąć planem regulacyjnym współczesnych i przyszłych potrzeb komunikacyjnych na polu samochodowem, pieszego ruchu i t. d. Zresztą zachodnie miasta walczą tu z temi samemi trudnościami: dawniej zbyt szerokie, na rozrost obliczone ulice okazywały się często w ciągu 50-lecia zbyt wąskie, wymagające przebudowy i budowy nowych arteryj.

Arterje komunikacyjne, łączące główne dzielnice, muszą mieć tereny dla przyszłej rozbudowy, celem zapobieżenia burzeniu domów i przebijaniu ulic, co miało miejsce w szeregu miast zachodnich. Poza głównemi ulicami komunikacyjnemi plan regulacyjny uwzględnia ulice o przeznaczeniu specjalnem, więc mieszkaniowe, które mają charakter ściśle lokalny, umożliwiając dogodny dostęp i dojazd do mieszkań, ulice spacerowe zazwyczaj zadrzewione, i zaopatrzone przy sprzyjających warunkach w ławki, dalej ulice dla ruchu samochodowego, jezdnie dla jazdy konnej i t. d. Kierunek ulic winien być wytyczony nietylko ze stanowiska technicznego, lecz i ekonomicznego, unikać należy połączeń pośrednich i przedłużonych, idąc linjami prostemi, a to celem potanienia transportu rzeczy i osób. Ważny jest racjonalny dobór placów, a to celem umożliwienia większych skupień ludzkich dla celów targowych i gospodarczych, towarzyskich, społecznych i t. d.

Komunikacje kolejowe, tramwajowe, autobusowe i podziemne winny mieć dzięki racjonalnej regulacji warunki odpowiednie dla rozwoju, łącznie z naturalnym rozrostem miasta i ośrodków przemysłowych. Nowoczesny rozwój komunikacji wymaga ze strony regulacji wielkiej staranności i ścisłego uwzględnienia warunków terenowych i gospodarczych.

Podobnie muszą być nietylko ze stanowiska technicznego i architektonicznego, oraz estetycznego, ale także ze stanowiska gospodarczego ustalone i ocenione zasady budowy i rozbudowy miast. Podział na dzielnice handlowe, przemysłowe, urzędnicze, robotnicze, reprezentacyjne i t. d. wymaga uwzględnienia w budownictwie specjalnych typów, dostosowanych do potrzeb gospodarczych, hygienicznych, sportowych i t. d. Rozwój dzielnic przemysłowych zależy przedewszystkiem od dogodnych środków komunikacyjnych, głównie wodnych, następnie pobliża sił napędowych, złóż węglowych, skupień robotniczych i t. d. wreszcie ognisk bankowych i handlowych. Dzielnice przemysłowe muszą mieć pomyślne warunki dla dalszego rozwoju, więc rozgałęzienia komunikacji wodnych, kolejowych, dalszej rozbudowy zakładów przemysłowych i t. d. Pewna specjalizacja gałęzi przemysłowych jest wielce pożądana, ułatwiająca przeprowadzenie regulacji w duchu potrzeb poszczególnych urządzeń technicznych i ekonomicznych.

Budownictwo mieszkaniowe powinno być bezwzględnie usunięte z dzielnic przemysłowych. W większych ośrodkach gospodarczych dzielnice handlowe, instytucje bankowe, ubezpieczeniowe, składowe wyodrębniają się w specjalne kompleksy ulic, wyposażonych w wielkie składy, magazyny, sklepy hurtowe i detaliczne, domy towarowe, targi, wystawy i t. d. Dzielnice te muszą być obliczone na olbrzymi ruch osobowy i towarowy, tembardziej, że równocześnie grupują się tu miejsca rozrywkowe, kawiarnie, restauracje, kinoteatry i t. d.

Równocześnie plan regulacyjny musi przewidzieć jaknajlepsze połączenia komunikacyjne dzielnic handlowych, z dzielnicą przemysłową, urzędniczą, robotniczą i t. d. Bardzo często przesunięcia dzielnic handlowych ze śródmieścia są wynikiem nieracjonalnego planu regulacyjnego, który nie przewidział rozwoju miasta. Stąd konieczne jest poddawanie planu regulacyjnego ustawicznej kontroli ze stanowiska konjunktur handlowych i przemysłowych. Wreszcie dzielnice mieszkaniowe muszą być odpowiednio rozplanowane, mając na uwadze rozwój sanitarny, kulturalny i społeczno-towarzyski.

I tu zwolna wydzielają się ulice systemu koszarowego, od ulic grupujących domy jednorodzinne, miast-ogrodów i t. d. Angielski system domków z ogródkami rozszerza się coraz bardziej na kontynencie, aczkolwiek nieracjonalna polityka terenowa miast w ubiegłych stuleciach utrudnia w wysokim stopniu tworzenie miast-ogrodów, wobec braku dostatecznego zapasu własnych terenów. Plan regulacyjny winien nawet w najniepomyślniejszych warunkach polityki gruntowej uwzględnić pewien odsetek mieszkań i domów jednorodzinnych, które są najwyższym wyrazem hygieny i kultury, zwłaszcza że system domów t. zw. szeregowych o odrębnych pomieszczeniach dla poszczególnych rodzin obniża koszty budowy w porównaniu z systemem domków odrębnych.

W wielkich ośrodkach miejskich, zwłaszcza w stolicach, plan regulacyjny przewiduje dzielnice reprezentacyjne, willowe, robotnicze i t. d.

Nie jesteśmy, zwłaszcza dla naszych stosunków za wydzieleniem zamożniejszych części miasta od dzielnic robotniczych i pracowniczych. Obecny system budownictwa mieszkaniowego, tworzący bloki szeregowych domków jednorodzinnych zbiorowe domy z ogrodami i t. d. zarówno dla sfer inteligencji urzędniczej i pracowniczej, jak i robotników i służby, pozwala na zbliżenie czynnika fizycznej i umysłowej pracy, co leży w obopólnym interesie. Mamy już tego nieliczne przykłady w naszych warunkach, więc na Żoliborzu w Warszawie. (Tuż obok siebie położone osady: oficerska, dziennikarska i robotnicza).

Łączy się z tem produkcja i obrót materjałami budowlanemi, która, podobnie jak budownictwo, może się rozwinąć żywotnie w związkach międzykomunalnych, celowych i t. d. Racjonalne postawienie tej kwestji, podobnie jak i dostosowanie poszczególnych typów budowy do stanu gospodarczego i potrzeb, oraz sił finansowych ludności, wymaga dokładnej znajomości stosunków ekonomicznych i społecznych, tem bardziej iż muszą tu być uwzględnione nietylko obecne wymogi konsumcyjne, lecz i przyszłe potrzeby, wraz z wzrostem kultury, co ma specjalnie dla naszych stosunków znaczenie. Co więcej, nawet sama technika budowy nie może pozostać bez wpływu ekonomicznego. Specjalnie w przemyśle budowlanym naukowa organizacja pracy nie jest dostatecznie przeprowadzona, powodując niedopuszczalne marnotrawstwo materjałów i czasu pracy.

Potanienie obecnie wysokich kosztów budownictwa mieszkaniowego, których wskutek ogólnego zubożenia nie może ponosić ludność, użytkująca mieszkania, leży w masowem budownictwie i masowej produkcji materjałów budowlanych, standaryzowanych części składowych, i t. d., oraz normalizacji typów budownictwa, uznanych w danym czasie i miejscu za najbardziej wskazane. Racjonalizacja i normalizacja budownictwa mieszkaniowego czyni w znacznej mierze zbędnym drogi wysiłek indywidualny, tworzący w naszem budownictwie bardzo wysoki odsetek kosztów w postaci zbyt licznego sztabu nadzorców, materjału urzędniczego, pracowniczego, architektów, budowniczych i t. d.

Studja nad prawem zabudowy nie posunęły się u nas do tego stopnia, by wprowadzić budownictwo mieszkaniowe, jedno z najważniejszych zadań komunalnych doby obecnej na nowe tory. Punktem wyjścia jednak dla masowej budowy mieszkań musi być racjonalne ukształtowanie prawa zabudowy, jako jednego ze środków racjonalnej polityki terenowej. Prawo zabudowy daje budującemu prawo wystawienia budowli na obcym gruncie, budowla ta pozostaje własnością zabudowcy, który oszczędza na wysokich w miastach kosztach nabycia placu budowlanego, płacąc stały czynsz właścicielowi, który często niema dostatecznych kapitałów, lub chęci budowy domu we własnym zarządzie.

Wszystkie te czynniki, zarówno regulacji, jak rozbudowy miasta, wymagają doskonałej orjentacji w stosunkach gospodarczych i społecznych, wytwórczych i konsumcyjnych, oraz prowadzenia planowej polityki ekonomicznej, opartej nietylko o uwzględnienie zasad technicznych, lecz w równej mierze prawno-administracyjych, a przedewszystkiem gospodarczych i komunalnych.

Dr. Leon Wład. Biegeleisen.

Walka z wekslem długoterminowym

W kołach przemysłowych rozważana jest ostatnio coraz częściej sprawa skutecznej walki z nieznośnymi warunkami płatności, jakie wkradły się do tranzakcyj. Z winy niektórych firm przemysłowych, które w celach konkurencyjnych poczęły przyjmować od kupców weksle, opiewające na terminy dłuższe niż trzy miesiące, zwyczaj płacenia takiemi wekslami zakorzenił się tak dalece, że dzisiaj mamy już w obiegu weksle sześciomiesięczne. Obieg takich weksli stwarza groźne niebezpieczeństwo. Okres sześciu miesięcy, to już okres tak długi, że możliwa jest w nim radykalna zmiana konjunktury, a także radykalna zmiana sytuacji materjalnej wystawcy. Moment niepewności przy takich tranzakcjach wzrasta przeto niepomiernie i stwarza poważne niebezpieczeństwo na wypadek pogorszenia się konjunktury. Lada chwilowa stagnacja może w takich warunkach rozpętać ostry kryzys finansowy i pociągnąć za sobą mnóstwo niewypłacalności.

Niebezpieczeństwo, wypływające z długoterminowych weksli kupieckich, powiększa się jeszcze dzięki niektórym przepisom naszego ustawodawstwa handlowego, dającego znacznie większą ochronę dłużnikowi niż wierzycielowi.

W sferach przemysłowych omawiano szereg projektów, dzięki którym spodziewano się uzdrowić zabagnione warunki sprzedaży. Omawiany był projekt znacznego podniesienia opłaty stemplowej od weksli z terminem dłuższym niż trzy miesiące, lecz nie znalazł on wielu zwolenników, jako mało skuteczny. Podniesienie opłaty stemplowej nie odstraszyłoby nikogo od wystawiania długoterminowych weksli, conajwyżej mogłoby się to przyczynić do jeszcze większego pogorszenia obecnych warunków zapłaty, gdyż starano by się uniknąć podniesionej opłaty stemplowej w ten sposób, że miesiącami przetrzymywanoby cenę kupna na rachunku otwartym, poczem pokrywanoby ją trzymiesięcznymi wekslami.

Nie znalazł wielu zwolenników także drugi projekt, by zrzeszenia przemysłowe starały się wpływać na banki w tym kierunku, aby nie przyjmowały do dyskonta weksli dłuższych niż trzymiesięczne.

Zatrzymano się natomiast na projekcie zawierania umów branżowych w przemyśle, obowiązujących wszystkich członków. Umowy takie nakładałyby na członków organizacyj przemysłowych bezwzględny obowiązek trzymania się pewnych, ściśle w umowach ustalonych warunków zapłaty, przewidując sankcje karne za wyłamanie się. Następnym etapem byłoby porozumiewanie się różnych organizacyj branżowych w tymsamym celu i zawieranie umów regjonalnych, ustalających warunki sprzedaży dla wszystkich gałęzi przemysłu w danym okręgu.

Rzecz ta jest obecnie dyskutowana zarówno w naczelnych organizacjach przemysłowych, jak i w łonie poszczególnych organizacyj branżowych i należy oczekiwać, że w niedługim czasie podjęta będzie konsekwentna walka z dotychczasowemi fatalnemi zwyczajami kupieckiemi.

P. ZYGMUNT RAWITA-GAWROŃSKI.

Znany z łamów prasy gospodarczej publicysta p. Zygmunt Rawita-Gawroński został zamianowany radcą handlowym przy poselstwie polskiem w Berlinie. Niezmiernie ważna ta placówka handlowa została obsadzona przez człowieka bardzo wysoko ukwalifikowanego.

Komisarz

Kto przebył piekło bolszewickie, wyrwał się z niego i przybył do Polski, tego już same nazwy władz naszych, tchnące historją dawnej Rzeczypospolitej jakoś tak mile chwytały za serce,... pan starosta.... pan wojewoda.... takie to dawne i swojskie. Wśród tytułów zapożyczonych z zachodu pozostał: komisarz policji, — zupełnie słusznie, gdyż prawdopodobnie innego tytułu, dla tego, tak popularnego urzędnika państwowego niepodobna było wprowadzić ze względu na samą tradycję pojęcia.

Obco jednak i przykro dla pojęcia obywatela brzmi tytuł „Komisarz Rządu".

Tytuł ten narodził się w tym samym okresie co i tytuł „Komisarz ludowy" — jak w zaraniu naszej odrodzonej państwowości nazywano oficjalnie starostę powiatowego w b. zaborze rosyjskim.

„Komisarz ludowy" i „Milicja ludowa" (t. zw. czerwona milicja) to były gorące reminiscencje stosunków panujących u naszych wschodnich sąsiadów, z uwagi na których nie tylko te nazwy, ale i polityka wewnętrzna oraz całe ustawodawstwo społeczne „na wyrost" na gwałt było dorabiane.

Minął wszelakoż ten stan chaosu, w okresie którego krzepły siły odrodzonego Państwa, minął okres niepewności, i po doświadczeniach porzednich rządów, obecny ma już własny, jasny sposób myślenia i trzeźwy pogląd na sprawy, do których ustosunkowanie się sprawiało może dawniej trudności czy kłopot. Od czasów i od motywów niejednego co chciało być dogmatem 10 lat temu, oddaliliśmy się na szczęście już bardzo. (Psychologja i poglądy naszych wschodnich sąsiadów zmieniły się w tymże samym czasie również nie mało...!).

Czy nie czas byłby już skasować ten tytuł „Komisarz Rządu", pamiętający jeszcze te czasy, kiedy lamus naszego języka urzędowego i szeregi naszych tytułów urzędowych zaśmieciły się coś niecoś, „czerwonym orjentalizmem"?

Jak na tyle zmian, które przeszedł zwłaszcza warszawski Komisarjat Rządu, (będący niemal stale dotąd w stadjum żywszej lub powolniejszej reorganizacji), sama nazwa „Komisarjat Rządu" i tytuł „Komisarz Rządu" wydają nam się zanadto trwale jak na wartość ich brzmienia — zmumizowane.

Dlaczego koniecznie i bez zmiany „Komisarz Rządu"? Dlaczego nie „Wojewoda Warszawski"? Czy może dlatego, że ten tytuł nosi dzisiaj bez uzasadnienia wojewoda mazowiecki? Czy politycznie nie byłoby bardziej na miejscu, aby nasi mazurzy czuli swoją regjonadną łączność na Mazowszu, i stali się utrzymywać nietylko plemienną, ale i szczepową łączność ze swymi pobratymcami odciętymi północną granicą? Mała rzecz a nie byłaby bezpożyteczną. Jeżeli jednak czujemy się koniecznie powołani do zmiany historycznego Mazowsza na „ziemię warszawską", jeżeli wojewoda mazowiecki musi się nazywać warszawskim, choć Warszawa nie podlega jego władzy administracyjnej, to niechże zamiast „Komisarza Rządu" będzie już: wojewoda grodzki — jak niektórzy zwyczajowo nazywają, lub „stołeczny". Ktoś raz proponował wskrzesić tytuł „Kasztelan" jako odpowiednik językowy do starosty i wojewody.

Jeżeli tamte tytuły są z tych lub owych względów niemożliwe, to może być coś zachodnio-europejskiego, jak „Delegat Rządu" lub „Gubernator stolicy" — ale dlaczego koniecznie Komisarz?

Ten niefortunny tytuł przypomina facecję jaką opowiadał nieodżałowanej pamięci pierwszy Komisarz Rządu w Warszawie ś. p. Anusz. Gdy raz odmówił jakiejś niemożliwej do spełnienia urzędowej prośbie pewnej poczciwiny interesantki, ta wychodząc od niego miała wyrazić ubolewanie, że skoro pan „Komisarz" nie chce spełnić jej prośby, to ona będzie zmuszoną zwrócić się wyżej, a mianowicie do nadkomisarza.... policji.

Bez żartu: dzisiaj jeszcze ten tytuł wielu obywatelom z tych najszerszych warstw albo nic nie mówi, albo mówi coś wręcz fałszywego.

polites.

Do numeru dzisiejszego dołączamy ilustrowane wydawnictwo informacyjne Kasy Chorych m. Łodzi, nadesłane nam przez Kasę, na co zwracamy uwagę czytelników.



Wydział Rejestru Handlowoge
Sądu Okręgowego w Łodzi

Do rejestru Handlowego Sądu Okręgowego w Łodzi wniesiono następujące wpisy za Nr. Nr.:

Nr. 13799/A. **„Józef Kamiński"** — Sklep spożywczy. Firma istnieje od 1918 roku w Łodzi, ul. Nowo-Cegielniana 48. Właściciel Józef Kamiński, Łódź, ul Nowo-Cegielniana 48. Intercyzy nie zawierał.

Nr. 13800/A. **„Wanda Neuman"** — Sklep kolonjalno-spożywczy. Firma istnieje od 1919 roku w Łodzi, ul. Karolewska 10. Właścicielka Wanda Neuman, Łódź, Karolewska 10. Intercyzy nie zawierała.

Nr. 13801/A. **„Mateusz Romanowski"** — Sklep spożywczy i wyroby tytoniowe. Firma istnieje od 1911 roku, Łódź, Żeromskiego 95. Właściciel Mateusz Romanowski, Łódź, Żeromskiego 95. Intercyzy nie zawierał.

Nr. 13802/A. **„Wanda Ryks"** — Sklep kolonjalny. Firma istnieje od 1920 roku w Łodzi, ul. Wólczańska 147. • Właścicielka Wanda Ryks, Łódź, Wólczańska 147. Intercyzy nie zawierała.

Nr. 13803/A. **„Dawid Liechtensztein"** — Sklep spożywczy. Firma istnieje od 1897 roku, Łódź, ulica Zamenhofa 17. Właściciel Dawid Liechtensztein, Łódź, Zamenhofa 17. Intercyzy nie zawierał.

Nr. 13804/A. **„Promień" — właścicielka Bronisława Mrozowska, biuro próśb".** Firma istnieje od 1925 roku, Łódź, Żeromskiego 110. Właścicielka Bronisława Mrozowska w Łodzi, ul. Żeromskiego 110. Intercyzy nie zawierała.

Nr. 13805/A. **„Jakub Hurwicz"** — Wyrób towarów ze sztucznego jedwabiu. Firma istnieje od 1-go stycznia 1927 roku, Łódź, ul. 28 p. Strzelców Kaniowskich Nr. 52. Właściciel Jakub Hurwicz, Łódź, Aleje 1-go Maja 41. Intercyzy nie zawierał.

Nr. 13806/A. **„Genowefa Cyrańska"** — Sklep spożywczo-kolonjalny, galanterja i sprzedaż wyrobów tytoniowych. Firma istnieje od 1918 roku, Łódź, Żeromskiego 27. Właścicielka Genowefa Cyrańska w Łodzi, ul. Żeromskiego 27. Intercyzy nie zawierała.

Nr. 13807/A. **„Fryda Miller"** — Piwiarnia. Firma istnieje od 1912 roku, Łódź, Żeromskiego Nr. 111. Właścicielka Fryda Miller, Łódź, Żeromskiego 111. Intercyzy nie zawierała.

Nr. 13808/A. **„Gustaw Hauzer"** — Sprzedaż mięsa i wędlin. Firma istnieje od 15 lipca 1927 roku, Łódź, ul. Radwańska 51. Właściciel Gustaw Hauzer, Łódź, Radwańska 48. Intercyzy nie zawierał.

Nr. 13809/A. **„Stanisław Herman"** — Pończoszarnia. Firma istnieje od 5 września 1926 r., Łódź, ul. Gdańska 40. Właściciel Stanisław Herman, Łódź, ul. NowoCegielniana 6. Intercyzy nie zawierał.

Nr. 13810/A. **„Glika Lewenhoff"** — Drobna sprzedaż dodatków szewckich i odpadków skór. Firma istnieje od 1 lipca 1927 roku. Właścicielka Glika Lewenhoff, Łódź, Rzgowska 15. Intercyzy nie zawierała.

Nr. 13811/A. **„Josek Bławat"** — Drobna sprzedaż manufaktury. Firma istnieje od 1925 roku, Łódź, ul. Piotrkowska 33. Właściciel Josek Bławat, Łódź, Piotrkowska 33. Intercyzy nie zawierał.

Nr. 13812/A. **„Bracia Smolarscy, właściciel Icek-Majer Smolarski"** — Drukarnia. Firma istnieje od 1920 roku, Łódź, ul. Piotrkowska 44. Właściciel Icek-Majer Smolarski, Łódź, Cegielniana 59. Intercyzy nie zawierał.

Nr. 13813/A. **„Ruwin Feldman"** — Sprzedaż obuwia. Firma istnieje od 1 stycznia 1928 roku, Łódź, ul. Napiórkowskiego 13. Właściciel Ruwin Feldman, Ruda-Pabjanicka, ul. Piotrkowska 8. Intercyzy nie zawierał.

Nr. 13814/A. **„Helena Wysocka"** — Sklep kolonjalno-spożywczy. Firma istnieje od 1 maja 1927 r., Łódź, ul. Sosnowa 3. Właścicielka Helena Wysocka, Łódź, ul. Sosnowa 3. Intercyzy nie zawierala.

Nr. 13815/A. **„Hendla Ejzykowicz"** — Sprzedaż naczyń kuchennych i towarów kolonjalnych. Firma istnieje od 1 stycznia 1926 roku, Stryków, Nowy-Rynek Nr. 3. Właścicielka Hedla Ejzykowicz, Stryków, Nowy-Rynek 3. Intercyzy nie zawierała. Prokurentem firmy jest Wolf Fass, zamieszkały w Strykowie, Nowy-Rynek 3.

Nr. 13816/A. **„Stefan Magdański"** — Sklep spożywczo-kolonjalny. Firma istnieje od 1927 roku, Łódź, Wólczańska 149. Właściciel Stefan Magdański, Łódź, ul. Wólczańska 149. Intercyzy nie zawierał.

Nr. 13817/A. **„Józef Jagiełło"** — Sklep spożywczy. Firma istnieje od 1925 roku, Łódź, Kopernika Nr. 44. Właściciel Józef Jagiełło, ul. Kopernika 44 w Łodzi. Intercyzy nie zawierał.

Nr. 13818/A. **„Mendel Noech Cukier"** — Drobna sprzedaż drzewa opałowego i węgla. Firma istnieje od 1905 roku, Łódź, ul. Żeromskiego 17 (budka). Właściciel Mendel Noech Cukier, Łódź, ul. Żeromskiego Nr. 17. Intercyzy nie zawierał.

Nr. 13819/A. **„Abram Zand"** — Sprzedaż manufaktury. Firma istnieje od 1 stycznia 1927 roku, Łódź, Ogrodowa 3. Właściciel Abram Chaim Zand, Łódź, ul. Aleksandrowska 8. Na mocy aktu intercyzy, zawartej dnia 21 października 192 roku przed notarjuszem Sarosiekiem w Łodzi Nr. R. 1105 pomiędzy właścicielem firmy a jego żoną Fejglą z domu Cymerman, została zawarta wyłączność majątku i wspólność dorobku

Nr. 13820/A. **„Mordka Chajmowicz"** — Sklep kolonjalno-spożywczy i dystrybucja. Firma istnieje od 1924 roku, Łódź, ul. Żeromskiego 13. Właściciel Mordka Chajmowicz, ul. Żeromskiego 13 w Łodzi. Intercyzy nie zawierał.

Nr. 13821/A. **„Chaim Szereszewski"** — Sprzedaż mąki. Firma istnieje od 5 marca 1928 roku, Łódź, ul. Kilińskiego 89. Właściciel Chaim Wolf Szereszewski, Łódź, ul. Kilińskiego 89. Na mocy aktu intercyzy, zawartej w dniu 24 czerwca 1911 roku przed notarjuszem Nieznańskim w Łodzi Nr. R. 8763, pomiędzy właścicielem firmy a jego żoną Gustawą, z domu Jakubowicz, ustalona została wyłączność majątku i wspólność dorobku.

Nr. 13822/A. **„Hilary Sauberman"** — Pośrednictwo Komisowo-Agenturowe. Firma istnieje od 1-go lipca 1928 roku, Łódź, ul. Zawadzka 46. Właściciel Hilary Sauberman, Łódź, ul. Zawadzka 46. Na mocy aktu intercyzy, zawartej w dniu 21 kwietnia 1898 r. przed notarjuszem Malinowskim w Kole za Nr. R. 370, pomiędzy właścicielm firmy a jego żoną Czesławą vel Surą-Łają z domu Łęczycką, zawarta została wyłączność majątku i wspólność dorobku.

Nr 13823/A. **„Józefa Antkowska"** — Sprzedaż owoców, słodyczy, ciastek i napojów chłodzących, cukierków i lodów. Firma istnieje od 1905 roku, Łódź, Karola 30. Właścicielka Józefa Antkowska, Łódź, Karola 30. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13824/A. **„Antoni Pawlikowski"** — Sklep spożywczy. Firma istnieje od 1922 roku, Łódź, ul. Gdańska Nr. 103. Właściciel Antoni Pawlikowski, Łódź, Gdańska Nr. 103. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13825/A. **„Mendel Kryszek"** — Sklep zawodowy odpadków, celem dalszej odsprzedaży, bez utrzymania składu. Firma istnieje od 1 stycznia 1928 roku, Łódź, Piotrkowska 17. Właściciel Mendel Kryszek, Łódź, Piotrkowska Nr. 17. Na mocy aktu intercyzy, zawartej dnia 22 czerwca 1920 r. przed Notarjuszem Kosińskim w Łodzi Nr. R. 3593, pomiędzy właścicielem firmy, a jego żoną Entą, z domu Frysman vel Fryszman, zawarta została wyłączność majątku i wspólność dorobku.

Nr. 13826/A. **„Berek Frid"** — Sprzedaż mięsa własnego uboju. Firma istnieje od 1926 r., Łódź, Radwańska w rzeźni. Właściciel Berek Frid, Łódź, ul. Nowo-Zarzewska 2. Intercyzy nie zawierał.

Nr. 13827/A. **„Jochweta Brzyska"**—Drobna sprzedaż artykułów spożywczych. Firma istnieje od 1 stycznia 1928 r., Łódź, ul. Wschodnia Nr. 9. Właścicielka Jochweta Brzyska, Łódź, Wschodnia 9. Intercyzy nie zawierała.

Nr. 13828/A. **„Zygmunt Marks"** — Sklep rzeźniczy. Firma istnieje od 1919 roku, Łódź, Gdańska Nr. 152. Właściciel Zygmunt Marks, Łódź, Gdańska Nr. 152. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13829/A. **„Michał Zelman Bando"** — Drobna sprzedaż manufaktury bawełnianej. Firma istnieje od 6 lutego 1928 r., Łódź, Piotrkowska 19. Właściciel — Michał Zelman Bando, Łódź, Aleja I-go Maja Nr. 8. Intercyzy nie zawierał.

Nr. 13830/A. **„Łaja Getsztajn"** — Sklep spożywczy. Firma istnieje od 1898 roku, Łódź, Zawadzka 24. Właścicielka Łaja Getsztajn, Łódź, Zawadzka 24. Intercyzy nie zawierała.

Nr. 13831/A. **„Majer Drachman"** — Opakowywanie paczek kolejowych. Firma istnieje od 1924 r., Łódź, Piotrkowska 19. Właściciel Majer Neftal Drachman, Łódź, Piotrkowska 19. Intercyzy nie zawierał.

Nr. 13832/A. **„Chil Blumenfeld"** — Sklep spożywczy. Firma istnieje od 1917 r., Łódź, Kilińskiego 73, Właściciel Chil-Lajb Blumenfeld, Łódź, Kilińskiego Nr. 73. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13833/A. **„Berek Lipszyc"** — Wyrób tkanin jedwabnych. Firma istnieje od 1 stycznia 1928 r., Łódź, Narutowicza Nr. 18. Właściciel Berek Lipszyc, Łódź, Zawadzka 36. Intercyzy nie zawierał.

Nr. 13834/A. **„Lidja Marska"** — Piwiarnia. Firma istnieje od 10 marca 1928 r., Łódź, Wólczańska 226. Właściciele: Marjan Stefański, Łódź, ul. Matejki Intercyzy nie zawierała.

Nr. 13835/A. **„Ita Birencwajg"** — Wyrób bielizny. Firma istnieje od 1927 roku. Łódź, Wschodnia 23. Właścicielka Ita Birencwajg, Łódź, ul. 6-go Sierpnia Nr. 37. Intercyzy nie zawierała.

Nr. 13836/A. **„Rudolabor"** — właściciele Stefański i Łapczyński. Wytwarzanie i sprzedaż preparatów chemicznych. Firma istnieje od 19 maja 1928 roku, Ruda-Pabjanicka, pod Łodzią, ul. Piotrkowska 23. Właściecicle: Marjan Stefański, Łódź, ul. Matejki Nr. 3/5 i Kazimierz Łapczyński, Ruda-Pabjanicka, pod Łodzią, ul. Piotrkowska 23. Spółka firmowa. Czas trwania spółki pięcioletni z automatycznem pięcioletniem przedłużeniem. Zarząd należy do obydwuch wspólników. Każdy z nich ma prawo samodzielnie podpisywać wszelką korespondencję, rachunki, obstalunki, pokwitowania i wszelkie wogóle dokumenty, nie mające charakteru zobowiązań pieniężnych, otrzymywać wszelkie należne spółce sumy i inny majątek, korespondencję, pieniądze za przekazami, przesyłki i ładunki, reprezentować spółkę u wszelkich władz i prowadzić wszystkie sprawy sądowe spółki. Weksle zaś akcepty, indosy, czeki, kontrakty, umowy, prokury i inne pełnomocnictwa, oraz wszelkie zobowiązania pieniężne, podpisują obaj wspólnicy pod stemplem firmy. Intercyz wspólnicy nie zawarli.

13758/A. **„Ludwik Sztajn"** — Skład apteczny. Firma istnieje od 1910 r. w Łodzi, przy ul. Brzezińskiej 20. Włiściciel Ludwik Sztajn, Łódź, Brzezińska Nr. 20.

Nr. 13837/A. **„Sabil — H. Szafir i G. Bister".** Wyrób pończoch. Firma istnieje od 1 maja 1928 r., Łódź, ul. Ogrodowa Nr. 9. Właściciele: Chil vel Hil Szafir.

Łódź, ul. Żeromskiego 18 i Grojnem Bister, Łódź, Szkolna 10. Spółka firmowa. Czas trwania spółki nieokreślony. Zarząd należy do obydwuch wspólników. Prawo udzielania prokury przysługuje obydwom wspólnikom, prawo zaś cofnięcia prokury — każdemu z nich. Weksle z własnego wystawienia, przekazy i czeki podpisują obaj wspólnicy łącznie pod stemplem firmy. Natomiast każdy ze wspólników uprawniony jest do samodzielnego żyrowania weksli, przekazów i czeków pod stemplem firmy; podpisywania korespondencyj, podań, pełnomocnictw adwokackich i wszelkiego rodzaju dokumentów, nie zawierających treści zobowiązania; odbierania dla spółki towarów, przekazów, przesyłek, listów pieniężnych, korespondencyj zwykłej i poleconej, pieniędzy i innych należności, oraz dokumentów z instytucyj państwowych, komunalnych, społecznych, banków, firm i osób. Na mocy aktu intercyzy z dnia 19 sierpnia 1925 r. za Nr. 5523, zeznanego w Kancelarji Notarjusza Łady w Łodzi, ustalona została między Fzafirem i żoną jego Esterą-Nechą wyłączność majątku i wspólność dorobku. Bister intercyzy nie zawarł.

Nr. 13838/A. **„Abe Zylberberg"** — Własny wyrób towarów włókienniczych. Firma istnieje od 1 lipca 1928 r., Łódź, ul. Piotrkowska 44. Właściciel — Abe Zylberberg, Łódź, ul. 28 pułku Strzelców Kaniowskich Nr. 15. Na mocy intercyzy, zawartej dnia 24 marca 1928 r. za Nr. 6235 u Notarjusza Jasieńskiego w Częstochowie, między właścicielem firmy, a jego żoną Salą vel Surą Horowicz, ustalona została wyłączność majątku i wspólność dorobku.

Nr. 13838/A. **„Natan Lipszyc"** — Drobna sprzedaż odpadków szmat. Firma istnieje od 1928 r. dnia 1-go lutego w Łodzi, ul. Pusta Nr. 9. Właściciel Nysen-Josek (Natan) Lipszyc, Łódź, ulica Pusta 9. Na mocy intercyzy, zawartej u Notarjusza Rybarskiego w Łodzi dnia 5/18 marca 1912 r. za Nr. 2789 między właścicielem firmy, a jego żoną Salomeją z Szykierów, ustalona została wyłączność majątku i wspólność dorobku.

Nr. 13840/A. **„Icek-Majer Kufeld i S-ka.** Handel towarami, nabytemi od firmy „Polon". Firma istnieje od dnia 25 lipca 1928 r., Łódź, ul. Piotrkowska Nr. 4. Właściciele — Icek-Majer Kufeld, zam. w Łodzi, przy ulicy Piotrkowskiej Nr. 4 i Jan Hübner, zam. w Łodzi, przy ulicy Brzozowej Nr. 12/16. Spółka firmowa. Czas trwania spółki nieokreślony. Wystawiać weksle własne, udzielać cesyj wekslowych, padpisywać czeki, przekazy, zawierać umowy i wszelkiego rodzaju zobowiązania w imieniu spółki dokonywują obaj wspólnicy łącznie pod stemplem firmowym. Każdy ze wspólników z osobna upoważniony jest do podpisywania i odbioru korespondencyj zwykłej, wartościowej, paczek i transportów kolejowych i pocztowych; do podnoszenia wszelkich należności; do otwierania kont na rachunek bieżący; do reprezentowania spółki przed sądami i wobec władz komunalnych i państwowych, oraz do obierania pełnomocników. Intercyz spólnicy nie zawarli.

Nr. 13841/A. **„Fryderyk Maertin"** — Przemysł drzewny. Firma istnieje od 1 lipca 1928 r., Łódź, ul. Rybna 22. Właściciel Fryderyk Maertin, Łódź, ul. Konstantynowska 2. Na mocy aktu intercyzy z dnia 9 listopada 1922 r. za Nr. 11977, zeznanego przed Notarjuszem Rossmanem w Łodzi, ustalona została między właścicielem firmy i żoną jego Irmgardą-Marją wyłączność majątku i wspólność dorobku.

Nr. 1382/A. **„American Wringer Company, Dorjan Lewenfisz i S-ka"** — Sprzedaż wyżymaczek fabryki „American Wringer Company" i maszyn do prania. Firma istnieje od 15 maja 1928 roku, Łódź, ul. Piotrkowska 40. Właściciele — Adam vel Aron Zylber, Warszawa, ul. Graniczna 6 i Dorjan vel Izydor Lewenfisz, Warszawa, ul. Mokotowska 45. Spółka firmowa. Czas trwania spółki nieograniczony. Zarząd należy do obydwuch wspólników i podpis jednego z nich wystarcza na wszekich pokwitowaniach i zobowiązaniach.

Nr. 13843/A. **„Samuel Weinberg".** Celem spółki jest prowadzenie kantoru wymiany walut i papierów wartościowych, oraz kolektury loterij państwowych i innych instytucyj o charakterze publiczno-prawnym. Firma istnieje od 10 lipca 1928 r., Łódź, ul. Piotrkowska 58. Właściciele — San-Szoel Kassman, Łódź, ul. Narutowicza Nr. 39 i Samuel Weinberg vel Szmul Weinberger, Łódź, ul. Zielona Nr. 3. Spółka firmowa. Czas trwania spółki dwuletni z automatycznem dwuletniem przedłużaniem. Zarząd należy do obydwuch wspólników. Wszelkie zobowiązania dłużnicze spółki z weksli, lub akceptów własnych podpisują obaj wspólnicy pod pieczątką firmową. Natomiast każdy ze wspólników uprawniony jest do samodzielnego odbierania wszelkiego rodzaju przesyłek, korespondencyj zwyczajnej, poleconej, wartościowej i pieniężnej, czeków i przekazów bankowych i prywatnych, oraz udzielania pełnomocnitw obrońcom sądowym dla prowadzenia wszelkich spraw spółki. Intercyz wspólnicy nie zawarli.

Nr. 13844/A. **„Zygmunt Płachecki".** Handel win i wódek. Firma istnieje od 26 lutego 1926 r., Łódź, ul. Kowieńska 2. Właściciel Zygmunt Falken-Płachecki, Łódź, ul. Kowieńska 2. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13845/A. **„Szwarcburg i Szpigiel"** — Wyrób towarów półwełnianych. Firma istnieje od 1923 r., Łódź, ul. Traugutta Nr. 4. Właściciele Szymon Szpigiel, Łódź, ul. Lipowa 55 i Benjamin-Lajzer Szwarcburg, Łódź, ulica Aleja I Maja 35. Spółka firmowa. Czas trwania spółki roczny z automatycznem rocznem przedłużaniem. Zarząd należy do obydwuch wspólników. Wszelkie zobowiązania, kontrakty, umowy, akceptacje i plenipotencje podpisują obaj wspólnicy. Korespondencję zaś, pokwitowania z odbioru należnośi, żyra weksli, oraz czeki podpisuje każdy ze wspólników samodzielnie pod stemplem firmy. Na mocy aktu intercyzy ustalona została między Benjaminem Szwarcburgiem i żoną jego Rywką, wyłączność majątku i wspólność dorobku. Szwarcburg intercyzy nie zawarł.

Nr. 13846/A. **„Jakub Leszczyński"** — Przedstawicielstwo handlowe różnych firm. Firma istnieje od 1 stycznia 1928 r., Łódź, ul. Piotrkowska 99. Właściciel Jakub Leszczyński, Łódź, ul. Piotrkowska 99. Na mocy aktu intercyzy ustalona została między właścicielem firmy i żoną jego Fajgą wyłączność majątku i wspólność dorobku.

Nr. 13847/A. **Kałma Lipman"** — Fabryka pończoch. Firma istnieje od 1 maja 1925 roku, Łódź, ul. Południowa 80. Właściciel — Kałda Lipman, Łódź, ul. Piramowicza Nr. 12. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13848/A. **„Adolf Petzold"** — Sklep spożywczo-kolonjalny. Firma istnieje od 1923 r., Łódź, ul. Płocka Nr. 44. Właściciel Adolf Petzold, Łódź, ul. Płocka 44. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13849/A. **„Moszek-Aron Herszenberg"** Tkalnia mechaniczna towarów włókienniczych. Firma istnieje od 1 lipca 1927 r., Łódź, ul. Gdańska 138. Właściciel Moszek-Aron Herszenberg, Łódź, ul. Piotrkowska Nr. 123. Na mocy aktu intercyzy, ustalona została między właścicielem firmy i żoną jego Libą wyłączność majątku i wspólność dorobku.

Nr. 13850/A. **„Buroch Szwajcar".** Drobna sprzedaż mięsa i drobiu. Firma istnieje od 1 stycznia 1928 roku, Łódź, ul. Pomorska 25. Właściciel Burek Szwajcar, Łódź, ul. Wolborska 12. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13851/A. **„Antoni Hojwa"** — Sklep spożywczy. Firma istnieje od 1 stycznia 1928 r., Łódź, ul. Kaliska Nr. 3. Właściciel Antoni Hojwa, Łódź, ul. Kaliska Nr. 3. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13852/A. **„Feliks Lisowski"** — Sklep rzeźniczy. Firma istnieje od 1 kwietnia 1925 r., Łódź, ul. Rzgowska Nr. 39. Właściciel firmy Lisowski Feliks Łódź, ul. Rzgowska 39. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13853/A. **„Józef Gałązowski"** — Kwiaciarnia. Firma istnieje od 1 lipca 1925 r., Łódź, ul. Piotrkowska 275. Właściciel Józef Gałązka vel Gałązowski, Łódź, Piotrkowska 275. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13854/A. **„Stefanja Lewalska"** — Sprzedaż wyrobów tytuniowych. Firma istnieje od 1 stycznia 1928 r., Łódź, Rzgowska 63. Właścicielka Stefanja Lewalska, Łódź, Rzgowska 63. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13855/A. **„Franciszka Maks"** — Sklep spożywczy i dystrybucja. Firma istnieje od 1 lipca 1923 r., Łódź, ul. Ks. Skorupki Nr. 3. Właścicielka Franciszka Maks, Łódź, ul. Skorupki Nr. 3. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13856/A. **„Aleksander-Gustaw Jaster.** Sklep rzeźniczy. Firma istnieje od 1 stycznia 1922 r., Łódź, ul. Rzgowska 59. Właściciel Gustaw-Aleksander Jaster, Łódź, Rzgowska 59. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13857/A. **„Moszek Tuszyński".** Sprzedaż ryb. Firma istnieje od 1 stycznia 1924 r., Łódź, ul. Cegielniana 26. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13858/A. **„Ewa Nowak".** Sklep kolonjalno-spożywczy i tytuniowy. Firma istnieje od 1922 roku, Łódź, Piaseczna 18. Właścicielka Ewa Nowak, Łódź, ul. Piaseczna 18. Intercyzy nie zawarła.

Nr. 13859/A. **„Boruch Lebensztajn"** — Sprzedaż zegarków. Firma istnieje od 1 lipca 1925 r., Łódź, ul. Rzgowska 1. Właściciel Boruch Lebensztajn, Łódź, Rzgowska 1. Intercyzy nie zawarł.

Nr. 13860/A. **„Bronisława Jaszczak"** — Szwalnia mechaniczna. Firma istnieje od 1 lipca 1927 r., Łódź, ul. Radwańska 40. Właścicielka Bronisława Jaszczak, Łódź, Radwańska 40. Intercyzy nie zawarła.

Redakcja i Administracja w Łodzi
ul. Piotrkowska Nr. 85. Telefon Nr. 45-50

Ceny ogłoszeń: Strona ogłoszeniowa dzieli się na 4 szpalty. Ogłoszenia zwyczajne 25 groszy za 1 milimetr wysokości w jednej szpalcie. Ogłoszenia w tekście 40 groszy za milimetr wysokośc w jednej szpalcie. Drobne 10 groszy za wyraz.

Redaktor i wydawca: *Paweł Zielina.*

Odbito w Drukarni Piotrkowska 85. 75128